

Bezpłatny dodatek niedzielny dziennika „Głos Prawdy“

# GŁOS PRAWDY

Organ Radykalizmu Polskiego  
T Y G O D N I K

Od Polski Wyzwolonej do Polski Odrodzonej

## Legjoniści w mieście filaretów

### NIEDYSKRECJE:

Po nad laur olimpijski . . . . .	514
Senator de Monzie o polityce sowieckiej w Azji . . . . .	"
Likwidacja opozycji komunistycznej w par- cji rosyjskiej . . . . .	"
W chińskim kalejdoskopie . . . . .	"
Obóz komunistycznych pionierów pod Berlinem . . . . .	515
BOHATER NARODOWY POLSKI WSPÓŁ- CZESNEJ St. Poraj . . . . .	"
LEGJONIŚCI W MIEŚCIE FILARETÓW Jan- kowska - Oryżyna . . . . .	516
WSPOMNIENIE Z PRZED PÓŁ WIEKU T. Gru- żewski . . . . .	517
KREMATORJUM W LIPSKU Wojciech Szu- kiewicz . . . . .	518

### „GŁOS PRAWDY LITERACKI“

Conrad-Korzeniowski E. Breiter . . . . .	520
Żongler Daniel thr. . . . .	521
Car Piotr u Mazepy B. Łepky . . . . .	"
Na Marginesie jkb. . . . .	522
Husarska piosenka Szalom Asz . . . . .	523
Na nowych drogach humanistyki M. J. Topo- rowski . . . . .	525
Z niwy poloników T. Gleyden . . . . .	526
Z bibliofilskiej antologii wybrał Este . . . . .	527
Odpowiedzi Głosu Prawdy Literackiego . . . . .	528

## NIEDYSKRECJE

PO NAD LAUR OLIMPIJSKI sięgnęli majorowie Kubala i Idzikowski, startując z Le Bourget do Ameryki drogą, która w najnowszej historii ludzkości znaczący się licznymi ofiarami Francuzów, Anglików, Amerykanów, usiłujących przebyć nad wodami oceanu wielki szlak najeżony niezliczonymi niebezpieczeństwami. W istocie bohaterstwa leży psychiczna zdolność powzięcia decyzji, hart woli i szlachetna ofiara z życia własnego — nie zbrakło tych najszczytniejszych wartości lotnikom polskim. Wylecieli po zwycięstwo dla siebie, dla swego narodu, dla ludzkości. I jeżeli zło losów przeciwności uniemożliwiły im wykonanie zamiaru, jeżeli z połowy drogi zawrócić musieli, stwierdzając, iż ceną życia okupiły dalszy lot, niemający już żadnych szans powodzenia wobec nierównej walki z żywiołem, wobec niesprawności motoru — to siła ich męskiego postanowienia, powziętego tam, w górze, pomiędzy bezmiarem wód i bezkresem powietrza, nabiera znaczenia stokroć większego, jest dowodem wielkiej duchowej dojrzałości tych ludzi, którzy na tak wielki czyn życia sposobili się długo i mozolnie. Ocaleni dla świata — dadzą mu jeszcze niejedną przygodę odwagi, męstwa i szlachetności, wybiegający daleko po nad miarę przeciętności i małości, tych, którzy w ich „odwrocie” chcą znaleźć jakże niską rekompensatę za swe poziome, przyziemne, zawiedzione ambicje polityczne..

\*\*

SENATOR DE MONZIE O POLITYCE SOWIECKIEJ W AZJI. — Sen. de Monzie zamieścił w Berliner Börsen Kurier artykuł, który z uwagi na osobę autora — jednego z najbardziej czynnych polityków europejskich i do niedawna propagatora zbliżenia Francji z Rosją — stanowi niewątpliwie poważny moment w rozwoju stosunków Europy Zachodniej z Rosją Sowiecką. Z uwagi na to, podajemy poniżej najbardziej charakterystyczny dla toku rozumowania sen. Monzie ustęp artykułu w tłumaczeniu: „Wszystkie państwa europejskie zgadzają się na tym punkcie, iż należy przeszkodzić temu, by czterystomiljonowa ludność Chin nie połączyła się ze stopięćdziesięciomiljonową ludnością Związku Sowieckiego i by Daleki Wschód nie stał się punktem oporu bolszewizmu. A dlatego, by walczyć na Dalekim Wschodzie z Rosją, korzystniejszym jest chiński włościanin, niż żołnierz angielski. Plan Moskwy polega na tem, by związać Japonję z Rosją, a później wciągnąć do tego przymierza Chiny i Niemcy. Tę kwestję już nieraz rozważano na łamach „Izwestij”, a ze strony Japonji nie następowały żadne sprostowania. Stressemann również jest poinformowany o tym planie, lecz niewiadomo jeszcze, jak się do niego odnosi. Otóż wobec tego przed Anglią staje zadanie zabezpieczenia przymierza Japonji z Anglią, a następnie przywrócenia Niemcom tego znaczenia w Europie Zachodniej, jakie im się należy jako mocarstwu. Gdyby Europa Zachodnia czyniła jakieś wstręty Niemcom, te ostatnie musiałyby z natury rzeczy zwrócić swój wzrok na Wschód. Główna trudność polega na tem, iż przywódca bolszewizmu przywłaszczył sobie prawo do wtrącania się w wewnętrzne sprawy wszystkich innych narodów, jednocześnie z tem jaknajsurowiej bronią innym narodom wtrącania się nawet w drugorzędne sprawy Rosji. Fakt, iż francusko-rosyjskie rokowania nie zostały jeszcze przerwane, — należy przypisać jedynie tylko temu, że Francja, choć nadaremnie, spodziewa się jeszcze powrotu do dawnych stosunków przyjaźni z Rosją(!). Lecz zbliża się już termin, kiedy trzeba będzie postawić przedstawicieli sowieckich przed niedwuznaczną alternatywą. Francusko-niemieckie zbli-

zenie(!) oznaczy bliżej ten moment, gdy sprawę tę trzeba będzie postawić na porządku dziennym. Zachowanie dobrych stosunków Europy Zachodniej z Chinami zależy w pierwszym rzędzie od Anglii. Tyle artykuł sen. de Monzie.

\*\*

LIKWIDACJA OPOZYCJI KOMUNISTYCZNEJ W PARTJI ROSYJSKIEJ stała się faktem dokonany. Komitet Centr. R. K. P. ogłosił za podpisem Jakowlewa okólnik następującej treści: „Biorąc pod uwagę, iż towarzysze: Awdiejew, Babachan, Bakajew, Bataszow, Bielajns, Bielenkij, D. A. Burcew, Wejzrauk, Hertik, Hessen, Gurajski, Jewdokimow, Elnowicz, Zawarikina, Załuski, Zinowjew, Kamieniew, Kuklin, Łaszewicz, Lewin, Lepeszyńska, Lilina, Matwiejew, Machow, Miniczew, Nikołajew, Pinson, Prygożyn, Rabkin, Rawicz, Rocman, Tokarew, Sołowjew, Fiodorow, Furticzow, Charatynow, Szarow i Szepszelewa — złożyli deklarację, w której uznali swoje błędy zasadnicze, potępił platformę „trockistów” i swoją dotychczasową działalność frakcyjną, zaprzestali swej akcji, a wreszcie oświadczyli, że w całości podporządkowują się wszelkim dyrektywom Ros. Kom. Partji i Kominternu. — Kom. Centr. Partji uznał za stosowne przywrócić im prawa członków partji za zaliczeniem ich dotychczasowego stanu partyjnego”. Jak widać z powyższego, pozycja opozycyjna Trockiego została zupełnie odosobniona, a w związku z tem i jego stanowisko — stało się coraz bardziej trudnym. Renegackie wystąpienie wczorajszych opozycjonistów, zwłaszcza Zinowjewa, Kamieniewa i Łaszewicza — duchowych wodzów opozycji — spotkało się z bardzo nieprzychylnymi dla nich komentarzami, natomiast moralny autorytet nieprzejednanego Trockiego wzrósł niepomiernie. W każdym razie Stalin narazie triumfuje — przynajmniej formalnie.

\*\*

W CHIŃSKIM KALEJDOSKOPIE. — Przyzwyczajaliśmy się już tak dalece do ustawicznej zmiany sytuacji w Chinach, iż nie zwracamy wcale uwagi na rozwój dalszych wypadków w państwie smoka. Tymczasem zaszły tam znowu daleko idące zmiany. Pomiędzy zwycięzcami — generałami nankińskimi — nie może dojść do zgody: to choruje Jen-Si-Szan, to prosi o urlop Fen-Ju-Sian, to grozi dymisją ambitny Czang-Kai-Szek. To też rząd nankiński ma wiele kłopotów nad złagodzeniem tych ustawicznych kłopotów. Natomiast osiągnął on poważny sukces na polu dyplomatycznym, gdyż udało mu się skłonić, przynajmniej formalnie, na swoją stronę syna i następcę władzy Mandzurji Czan-Siu-Lana. Ten ostatni na ultimatywne żądanie Nankinu podniesienia flagi Homindanu i uznania „trzech zasad” Sun-Jat-Sena miał już odpowiedzieć, iż „oddawna jest on wyznawcą nauki Sut-Jat-Sena i stronnikiem programu Hominanu”. Z tego powodu, jak twierdzi — usunął swą armję do Mandzurji i czeka teraz tylko na wskazówki Nankinu co do „metod”, jakimi ma sprawować rządy na podległym mu terytorjum. Wprawdzie japońskie agencje telegraficzne informują o przygotowywanym starciu oddziałów mukdeńskich Czan-Siu-Lana z armją rewolucyjną południowców, ale narazie przynajmniej zdaje się to być tylko pobożnym życzeniem Japończyków. Słowem nic nie wskazuje na to, by działania wojenne przeniosły się na terytorjum Mandzurji, co mogłoby bardzo łatwo wywołać konflikt z Japonją. Gorzej natomiast powodzi się rządowi nankińskiemu na własnym terytorjum, gdzie w międzyczasie porobiła wielkie postępy akcja komunistyczna. Dużo faktów wskazuje na to, iż ideologia chińskich mas robotniczych, a zwłaszcza proletariatu wiejskiego, uległa dalszej radykalizacji. Wobec tego, jak słychać, kierownicze koła Homindanu noszą się z zamiarem odroczenia kolejnego zjazdu partji, aż do należytego unormowania stosunków

prawnych i ekonomicznych państwa. Dadzą się również odczuć silne wpływy za ponownem nawiązaniem dobrych stosunków z Rosją Sowiecką, czemu jednak przeciwstawia się zdecydowanie Czang-Kai-Szek. Słowem zdobycie Pekinu nie przyniosło jeszcze stabilizacji stosunków politycznych niebieskiego państwa. To też uwaga rządu nankińskiego jest skupioną głównie na zagadnieniach wewnętrznej organizacji państwa. Przygotowano już nawet do reorganizacji armji i służby bezpieczeństwa. Stan armji lądowej określono na pół miliona, co ma stanowić 50—60 dywizyj piechoty, uzbrojonych i wyposażonych według nowoczesnych wymagań techniki wojennej. Armja będzie podlegać rządowi centralnemu, a nie jak było dotąd — gubernatorom poszczególnych prowincyj. Ponadto bę-

dzie zorganizowany blisko 200 tysięcy liczący korpus żandarmerji i policji wodnej, przeznaczonej dla utrzymania bezpieczeństwa na wielkich rzekach Chin. Resztki wojsk, pozostałe po reorganizacji, zostaną przemianowane w armje pracy.

\*\*

OBÓZ KOMUNISTYCZNYCH PIONIERÓW POD BERLINEM. — Berliński związek „spółki młodych spartakowców” organizuje w okolicy Berlina letni obóz ćwiczebny, obliczony na 500 pionierów, imienia wodza armji czerwonej — Woroszyłowa. Do tego obozu mają być wysłani pionierzy i innych państw, a w tej liczbie i Polaki, celem zademonstrowania międzynarodowej solidarności pionierów.

## BOHATER NARODOWY POLSKI WSPÓŁCZESNEJ

(W przedstawieniu francuskiego publicyisty).

W przededniu jakby rocznicy legjonowej jeden z najpoważniejszych dwutygodników politycznych Francji, „Revue des Deux Mondes” zamieścił życiorys i charakterystykę Marszałka Piłsudskiego, jednego z owych kilku „maitres du destin”, „mężów opatrnościowych”, jakich opinja społeczna dostrzega na horyzoncie politycznym świata powojennego. Stało się dobrze, że artykuł ów obecnie właśnie się pojawił drukiem, wyjaśnia on bowiem poważnym kołom czytelniczym całego świata cywilizowanego rolę dziejową wielkiego Wodza narodowego polaków właśnie teraz, gdy obchodzimy rocznicę wymarszu pierwszej kadrowej, gdy gromadzimy się na uroczysty obchód wileński, gdy wreszcie święcić będziemy ośmiolate odparcia nawały bolszewickiej z przed bram Warszawy.

O tem wszystkim mówi właśnie i wyjaśnia te rzeczy należycie czytelnikowi artykuł p. Verax'a w „Revue des Deux Mondes” tem godniejszy uwagi, iż zjawia się po niejednokrotnych próbach zdezorientowania zagranicy, jakże często inspirowanych tu u nas w kraju przez koła, które z czasów wojny jeszcze posiadały rozgałęzione stosunki na gruncie paryskim, a lubiły wyzyskiwać okoliczności powołania do życia legjonów celem zdyskredytowania tej pierwszej niepodległej polskiej siły zbrojnej..

Po licznych więc swego czasu artykułach, znieśladających polski czyn zbrojny ustala p. Verax w swej pracy, że Marszałek od najwcześniejszych swych lat młodzieńczych pracował dla niepodległości jedynie, organizując swych kolegów uniwersyteckich w Charkowie i starając się im wpoić swą wiarę i swe nadzieje. Ta idea niepodległości narodu i praca na jej rzecz — podkreśla dalej „Revue des Deux Mondes” — przyświeca Piłsudskiemu konspiratorowi, organizującemu w Wilnie „polską młodzież rewolucyjną”, zesłanemu potem na Sybir a po powrocie z Syberji jednemu z założycieli P. P. S., redaktorowi i drukarzowi „Robotnika”, więzionemu w cytadeli warszawskiej, w Petersburgu, który w czasie wojny rosyjsko-japońskiej przybywa do Tokjo, by zaproponować tam zorganizowanie powstania polskiego na tyłach armji rosyjskiej, a który wreszcie tworzy w przeddzień wojny organizację zbrojną na gruncie galicyjskim. „W d. 6 sierpnia 1914 r. trzystu młodzieńców, należących do owych ugrupowań, ledwie uzbrojonych ale przejętych za-

pałem patriotycznym, przekroczyło granicę i ruszyło do Kielc...” — tak pisze o wymarszu kadrowej p. Verax, by stwierdzić, iż lojalność legjonów wobec armji austro-węgierskiej nie była lojalnością bez zastrzeżeń, co doprowadziło wreszcie do odmowy narzuconej przysięgi, internowania legionistów i osadzenia w twierdzy magdeburskiej ich Komendanta.

„Uzyskawszy wolność dzięki rewolucji niemieckiej — czytamy dalej, — Piłsudski wraca do Warszawy d. 10 listopada 1918, witany entuzjastycznie przez całą jej ludność. Nazajutrz członkowie jego organizacji wypędzają Niemców z Warszawy, podobnie jak przedtem jeszcze, d. 31 października rozbroili austrjaków w Krakowie. Polska jest wolna.”

„Od owej chwili życie Piłsudskiego zespala się ściśle z historją Polski samej. Do owej daty życie jego było ruchliwym życiem konspiratora i rewolucjonisty, natchnionego najdziksza energją i najuporczywszem wytrwaniem w dążeniu do celu idealnego, który wydaje się niemożliwym do osiągnięcia, tak bardzo bowiem wkracza w dziedzinę utopji. Od listopada 1918 r. staje się ono życiem wodza naczelnego, rządcy i przywódcy narodu.”

Brak miejsca nie pozwala nam tu, niestety, na obszerniejsze wyciągi z artykułu „Revue des Deux Mondes”, omawiającego szczegółowiej stan rzeczy w Polsce po jej zmartwychwstaniu, rozwijającego przed czytelnikiem myśli przewodnie Marszałka, który pragnąłby stworzyć blok państw, nastrojonych narodowo, jakiby się mógł skutecznie przeciwstawiać naporowi przyszłej, takiej czy innej Rosji. Znajdujemy tam dalej wyjaśnienie wojny polsko-sockieckiej, pochodu na Kijów, wreszcie tragicznych dni sierpniowych, gdy „gwiazda Piłsudskiego zdawała się blednąć, a jego wewnętrzni wrogowie cieszyli się już z jego upadku, nie zdając sobie sprawy, że przyszłość Polski mogłaby być wskutek tego zagrożona”. Ale — jak podkreśla dalej „Revue des Deux Mondes” — „poryw wojska polskiego z d. 15 sierpnia 1920 r. zmienił nagle sytuację i dni następnych już armja czerwona w popłochu cofnęła się gwałtownie ku granicom. Po tem zwycięstwie, które historja nazwała cudem nad Wisłą, Piłsudski odzyskał całą swą popularność. Stał się odtąd kierownikiem polityki polskiej”.

\*\*

Artykuł „Revue des Deux Mondes” omawia z kolei działalność Marszałka na stanowisku Naczelnika Państwa. Mówi o jego wizycie w Paryżu, w lutym 1921 r., gdy Marszałek, „przyjmując z radością i wdzięcznością

wyciągniętą doń rękę, chętnie zapomniał, iż uważał niedyś sojusz francusko-rosyjski za niezwalczoną przeszkodę, kładącą się w poprzek realizacji jego najukochańszych zamierzeń". Wspomina dalej p. Verax w swym artykule, iż z końcem r. 1922 przewidywano ogólnie wybór Marszałka na urząd Prezydenta Rzplitej i dodaje, że nawet „delegacja ugrupowań politycznych przybyła prosić go o wystawienie swej kandydatury”, by stwierdzić wreszcie, iż z ust Marszałka padła wówczas odmowa, „jakiej nie można nazwać zwykłą, ale umotywowana szeregiem argumentów, które przytoczono obszerniej, a z których najważniejszym było wyposażenie Prezydenta Rzplitej we władzę niedostateczną i źle zdefiniowaną w konstytucji.

Tę odmowę ówczesną autor artykułu omawia bliżej, podkreślając, że „decyzja Marszałka Piłsudskiego w chwili, gdy wybór jego na urząd Prezydenta był zapewniony, nie mogła mu nie przynieść zaszczytu; była jednym więcej dowodem głęboko przemyślanej woli. Jest bowiem doprawdy wyjątkiem człowiek, któryby dobrowolnie zrzekał się korzyści i przyjemności władzy i, nie posiadając osobistego majątku mimo sławę i oddane usługi, wolał wycofać się do życia prywatnego raczej, aniżeli przewodniczyć funkcjonowaniu konstytucji, którą uważa za szkodliwą dla pomyślności a nawet dla życia swego kraju”.

Autor wyraża dalej przypuszczenie, iż Marszałek „nie bez melancholji, nawet może nie bez gorczy zdecydował się odmówić sobie tego najwyższego uszczytowania swych usług i swych zasług”, „Mógł być wówczas wspominać wszystkie doświadczenia, jakie w ciągu tylu lat przetrwał swem mężnem, niesłabnącem sercem dla miłości ojczyzny”. Mówi dalej „Revue des Deux Mondes” o wydarzeniach, jakie uniemożliwiły Marszałkowi wycofanie się do życia prywatnego, o sprawowaniu przezeń urzędu szefa sztabu Generalnego za czasów gabinetu p. Sikorskiego, wreszcie o powzięciu przez Sejm uchwały, głoszącej zasługi Marszałka, jaka poprzedziła usunięcie jego od rządów, gdy ster władzy znalazł się w rękach jego przeciwników politycznych.

Po omówieniu pobytu Marszałka w Sulejówku, jego wizyty w Belwederze z listopada r. 1925 i przybycia do Sulejówka delegacji czterechset oficerów z dnia następnego, znajdujemy w artykule p. Verax'a dłuższe i trafne, dodajmy, przedstawienie wypadków majowych. „Ów godny pożałowania konflikt — czytamy tam, — który mógł mieć dla Polski najgroźniejsze konsekwencje, wynikł, jak się zdaje, jedynie z racji rozjątrzenia, panującego pomiędzy zwolennikami a przeciwnikami Marszałka oraz wskutek błędów popełnionych przez b. prezydenta Wojciechowskiego i członków rządu Witosa, którym brakło zmysłu przewidywania i zrozumienia psychologii”. Następnie podkreślono w artykule, że Marszałek, „będąc w danej chwili istotnym i jedynym władcą Polski”, formuje nowy gabinet i odrzuciwszy wszelką myśl o dyktaturze, usiłuje rządzić konstytucyjnie, by „dowieść, iż mimo wad konstytucji, pomyślanej przeciwko niemu osobiście, rząd może się do niej przystosować, wykazując energję i silną wolę”.

Te właśnie „nowe metody rządów”, jakie obecnie mamy przed oczyma i ich trafna charakterystyka stanowią zakończenie artykułu „Revue des Deux Mondes”, który autor zamyka następującymi uwagami.

„Będąc konspiratorem naprzód i rewolucjonistą, potem żołnierzem i Naczelnikiem Państwa, wreszcie po trzy-

letniem odsunięciu się od życia publicznego szefem rządu i w istocie rzeczy dyktatorem — wszystkich tych tak różnych sytuacjach Marszałek Piłsudski ma jeden, jedyny tylko cel przed sobą: naprzód niezawisłość Polski, potem konsolidacja i pomyślność.

„Temu to ideałowi patriotycznemu hołdował zawsze, nie troszcząc się ani o poprawność środków, jakich się imał, ani o szkody osobiste, jakieby wskutek nich mógł ponosić. Gdy tak wielu jego rodaków było jedynie dla swych korzyści osobistych, on miał na względzie jedynie interes kraju. Przywykły od dzieciństwa do niedostatku, gardzi pieniędzmi i roskoszami, jakie daje pieniądź. Był zawsze biednym i żył skromnie. Od najwcześniejszych lat młodzieńczych życie swe złożył w ofierze ojczyźnie i ofiarowuje jej nadal wszystkie dni żywota, choć z całą słusnością mógłby sądzić, iż ma już prawo do spoczynku i że mógłby zakończyć życie w aureoli swej sławy. Rodacy uważają go też za bohatera narodowego Polski współczesnej. Jest to wódz, za którym bez wahania idzie się aż do śmierci, bo się go czci, bo intencje jego są czyste”.

„Gdy w r. 1919 wziął w swe dłonie funkcje Naczelnika Państwa, Polska nie miała granic, nie miała wojska, nie miała administracji, naokół staczali ją wrogowie. Dziś, stwierdzając pod każdym względem korzystną sytuację Polski, zarówno wewnętrzną jak i zewnętrzną, Marszałek Piłsudski może być dumny z dzieła, dokonanego pod jego przewodnictwem”.

\*\*\*

Cóż dodać do tej krótkiej a tak wymownej charakterystyki? Przecież to jedno zdanie o złożeniu całego życia ojczyźnie swej w ofierze starczy za najszczytniejsze dytyramby, za najwznioślejsze pomniki, jakieby można było stawiać bohaterowi narodowemu Polski współczesnej.

St. Poraj.

## LEGJONIŚCI W MIEŚCIE FILARETÓW

Zjazd legjonistów w Wilnie wywołuje wielką sensację i zaniepokojenie wśród obcych. Tężyzna narodu i ferment wiary w siebie i rozmachu — w mieście budzącem tyle sąsiedzkich sporów, tęsknot i pożądlivosti. Zakolebały się głowy po litewskiej stronie.

Wiadomo, że Marszałek umiłował nadewszystko swe miasto rodzinne, gdzie, jak mówi „nawet błoto różami pachnie”.

I nie dziw, bo Wilno to Panteon narodowy, Florencja północy. Z ciemnego sosen uroczyiska, z szacownych murów, malowanych patyną wspomnień podniosłych, powstały nasze bohaterzy i genjusze, sprawujące „rząd dusz” w narodzie: Mickiewicz, Kościuszko, Piłsudski.

Tu się kształtował duch Słowackiego, tu uczył Leleweł. W graniu organów fary Świętojańskiej szła defilada mężów, największych w ojczyźnie i stąd, z Wilna wydobyl się największy głos, najpotężniejsze prometejskie słowo, jakie kiedykolwiek usłyszano w narodzie: improwizacja. W murach wileńskich błędą echa rozmów filomatów i filaretów, po ciemnych kurytarzach tuła się ich męczeńska legenda i spotyka się

z siostrą żywą, krzepką i zwycięską legendą peowia-ków. Spotkanie ich w murach pamiętających czasy filareckie, oto zamknięte, sprawiedliwe koło historii nieustępliwe. Nie miło przypomnieć Litwinom, że w mieście tem tak gorąco a bezwzajemnie przez nich pożądanem, każdy kamień woła o wielkiem do Polski przywiązaniu. Radzi czy nie radzi muszą sobie uświadomić, że miasto pagórkami wzdęte, wabiące Wilją krętą, pełne strzelistych błękitnych wież, Florencja nasza i Panteon jest dla nich niczem piękność obojętna, wiecznie kusząca oddaleniem.

Wzdychanie do niej jest ciężkie, ale posiadanie jej jest największem niebezpieczeństwem. Stąd wielka histerja po litewskiej stronie, skoro Wilno świętuje jaką uroczystość.

Nie wiadomo co powie Komendant. Czy będzie to znowu bolesna ostroga wspinająca naród do twórczego galopu, czy dumne wspominki wielkich tradycyji, czy historyczne wskazania, czy rozstrzygnięcia praktyczne. Tylko w książce kiepskiego autora dalszy ciąg jest wiadomy.

Cokolwiekby to było, nawet pogwarka zwykła ze swą wiarą, w przededniu nowych litewskich wykrętów w Genewie, każdy przyjazd Marszałka do Wilna, czy to do rodziny, czy na legionowej rodzinie święto budzi histerję w kraju liliputów, które zasłyszały pomruk Gulliwera.

*Jankowska-Orymżyna.*

## WSPOMNIENIE Z PRZED PÓL WIEKU

Na początek tego lata przypadała pięćdziesiąta rocznica Kongresu berlińskiego, który rozpoczyna okres najnowszej polityki europejskiej wzmocnionych wyścigów militarystycznych i ugrupowań, doprowadzających wreszcie do wojny światowej. W okresie tym kwestja wschodnia przybiera inną postać, niż dawniej; wchodzi w grę polityczną nie same tylko obszary, lecz i ludy bałkańskie, których postawa krzyżuje nieraz rachuby dyplomacji i zmienia jej kunsztowne plany. Okazało się to już w lat parę po obradach areopagu berlińskiego.

Po wzięciu do niewoli armji, broniącej Szybki, po przejściu Bałkanów i jeszcze paru klęskach, odwrót Turków zmienił się niemal w tłumną ucieczkę i zwycięzcy mogli bez trudności nagłym napadem wziąć stolicę sułtana. Ale to stałoby się sygnałem natychmiastowej wojny z Anglią, której eskadra była już w cieśninach i na morzu Marmora, gotowa do obrony punktów, mających dla niej żywotne znaczenie.

Rosja chciała wojny uniknąć i nie tykać narazie Konstantynopola oraz cieśnin. Postanowiła natomiast podyktować zwyciężonemu sułtanowi taki pokój, któryby ją de facto zrobił panią półwyspu Bałkańskiego i od jej łaski uzależnił stolicę Turcji i resztkę jego posiadłości. Podstawą panowania rosyjskiego na półwyspie miała być Bułgarja, która z racji wspólności religiji i podobieństwa języka budziła w „oswobodzicielach” najdalej idące nadzieje. Uważając ją w niedalekiej przyszłości za część Rosji, dyplomaci carscy chcieli dać nowemu księstwu możliwie duże terytorjum i odpowiednie warunki geogra-

ficzne. Wielka Bułgarja miała sięgać do morza Egejskiego i rozciągać na dwie części Turcję europejską, zagrożając jednocześnie jej stolicę.

Jakoż pełnomocnicy sułtana, przerażeni widokiem zwyciężkich wojsk tuż w pobliżu jego siedziby, podpisali w San-Stefano pokój, podyktowany przez Ignatjewa bez żadnego udziału dyplomacji zachodniej. Gabinet petersburski rachował, że Europa pogodzi się z faktem dokonanym. Doznał wszakże przykrego zawodu.

Przeciw traktatowi w San-Stefano wystąpił z całą stanowczością Londyn, a Bismark oświadczył, że pokój rosyjsko-turecki musi uzyskać aprobatę mocarstw.

Przez dwa miesiące Rosja się wahała. Na natarczywe a groźne zapytania z Londynu Gorczakow odpowiadał tak niejasno, że lord Beaconsfield w jednym z przemówień wyraził się, że sama Pythia nie umiałaby być tak uroczystą i zarazem tak ciemną. W końcu gabinet petersburski, przestraszony wojenną postawą Anglii ustąpił i zgodził się na rozpatrzenie całego traktatu san-stefańskiego na kongresie. Przed zebraniem tego ostatniego pomiędzy lordem Salisburym a ambasadorem rosyjskim Szuwałowem stanęła tajna umowa co do najważniejszych spornych punktów. Zredukowano znacznie obszar księstwa Bułgarji, oddzielono odeń część południową i pod nazwą Wschodniej Rumelji pozostawiono pod panowaniem sułtana. Polityce angielskiej chodziło o to, aby linja Bałkanów nie dostała się Bułgarji, a przez nią Rosji, lecz mogła przeciw tej ostatniej stanowić osłonę militarną Konstantynopola i cieśnin.

Jeszcze na kongresie usiłowali pełnomocnicy rosyjscy przeforsować ten punkt, lecz lord Beaconsfield postawił ultimatum i poczynił przygotowania do wyjazdu z Berlina. Car przysłał swym pełnomocnikom rozkaz przyjęcia żądania Anglii.

Zarówno polityka carska jak angielska wychodziła z założenia, że, co się przyznaje Bułgarji, pójdzie w rzeczywistości na rzecz Rosji. Dyplomaci rosyjscy tak byli na tym punkcie pewni swego, że w poufnej korespondencji nadali nowemu księstwu nazwę „Zadunajskaja Oblast”, o czym Europa dowiedziała się później z dokumentów, ogłoszonych przez Jakobsóna. Tak samo mniemali i Anglicy, lecz wyprowadzali stąd wprost przeciwne wskazania. Tymczasem okazało się, że obie strony były w błędzie, że Bułgarja nie jest i nie będzie materialem na „Zadunajskuju Oblast”.

W kilka lat po kongresie skutkiem t. zw. przewrotu filipolskiego Wschodnia Rumelja złączyła się z Bułgarją i najważniejszy punkt dzieła kongresowego zdawał się obalonym. Według formalnej logiki rzeczy przewrót filipolski był zwycięstwem politycznym Rosji i odwetem za traktat berliński.

Rzeczywistość wszakże przedstawiała się zgoła inaczej. W grę polityczną wszedł niespodziewanie czynnik, o którym nie wiedziała urzędowa dyplomacja — silne i żywotne poczucie państwowe ludności bułgarskiej, którą w Europie uważano za garść ciemnych chłopów, nieuchronnie skazanych na rusyfikację i pochłonięcie przez żarłoczną „matuszkę”.

Natychmiast zrozumiała Rosja, że przewrót filipolski nie jest dla niej zwycięstwem, lecz raczej klęską. Zamiast przyszłej gubernji czy „oblasti” stanęła nieoczekiwanie na drodze do Carogrodu zorganizowana państwowo Bułgarja, pełna sił żywotnych i aspiracyj niepodległościowych. Ta nadzwyczajna rewelacja zmieniała

i rosyjską i europejską orientację. Zgoła nie żałowano w Anglii Wschodniej Rumelji, która w nowej sytuacji traciła swój właściwy sens, i przestawała być potrzebną, Poczóż stawiać sztuczne tamy i barykady, kiedy niepodległa i żywotna Bułgarja staje się przegrodą naturalną i o wiele lepszą niż tamte.

Zresztą Rosja nie dawała zrazu za wygraną i dokładała wszelkich usiłowań, aby powstrzymać i wykołować samodzielny rozwój państwowy „oswobodzonej” Bułgarji. Skutkiem intryg rosyjskich utracił tron i zmuszony został do opuszczenia kraju pierwszy książę bułgarski i zwycięzca pod Sliwnicą, Aleksander Battenbarski. Nastąpiło niebawem otwarte zerwanie Bułgarji z „oswobodzicielką”, która zbyt widocznie pokazywała swe kły i pazury słowiańskim „bratuszkom”, jak wyrażają się ironicznie w owych dokumentach Jakobsona carscy dyplomaci.

Po okresie Stambułowa nastąpiło urzędowe pogodzenie caratu z Bułgarją i jej księciem, w rzeczywistości jednak ukryta, podstępna walka toczy się dalej i dochodzi do swego punktu szczytowego podczas wojny powszechnej.

Powie niejeden, że zwycięstwo angielskie na kongresie nie miało znaczenia wobec późniejszej ewolucji Bułgarji.

Z tem trudno byłoby się zgodzić. Gdyby Europa przystała na pokój san-stefański i wydała Bułgarję na łup Rosji, rozwój młodego, a raczej odmłodzonego narodu byłby zatamowany i zduszony, a w każdym razie oóźniony i polityce carskiej byłoby o wiele łatwiej osiągnąć swe zamiary. Niedarmo też bojowy słowianofil Danilewski, wspominając o szalonych nadziejach panslawistów, którzy zapowiadali nowe prawo dla świata z rosyjskiego Synaju, wyraził się z goryczą zrozumiałego zawodu: „nasz Synaj okazał się w Berlinie”.

T. Gruźewski.

## KREMATORJUM W LIPSKU

Jedną z niewątpliwych zdobyczy kulturalnych ostatniego okresu procesu rozwojowego ludzkości jest najracjonalniejszy, naukowo najbardziej uzasadniony sposób usuwania ciał ludzi zmarłych przez palenie a raczej spopielenie ich po śmierci. Literatura przedmiotu jest bardzo obszerna, ciekawa i pouczająca, a korzyści wynikające z kremacji wielokrotnie zostały wykazane tak, że powtarzanie ich byłoby wywalaniem otwartych drzwi. Ponieważ zaś istnieje u nas już dość spora ilość ludzi uznających korzyści kremacji i zbliża się niewątpliwie czas, kiedy to urządzenie kulturalne i u nas w kraju znajdzie tak zasłużone zastosowanie, przeto zdaje mi się rzeczą właściwą i celową zapoznać czytelników „Głosu Prawdy” z jednym bodaj krematorjum, które ostatnio miałem sposobność poznać, mianowicie krematorjum lipskiem, mogącem bodaj pod każdym względem służyć jako przykład godny naśladowania.

W bardzo pięknie położonym i pięknie utrzymanym a jak twierdzą lipszczanie najpiękniejszym cmentarzu w Niemczech, *Südfriedhof*, znajduje się wspaniałe istotnie gmach, wspaniałe i monumentalny, na który składają się trzy kaplice cmentarne

z dobudowaniem do nich krematorjum i wszystkimi z niem związanymi urządzeniami. Przedewszystkiem zaznaczyć należy, iż nie jest to cmentarz wyznaniowy lecz komunalny, wskutek czego pogrzebanie w ziemi lub spaleniu względnie spopieleniu podlegają tutaj wszyscy mieszkańcy Lipska, bez względu na wyznanie, a za tem i wolni myśliciele wszelkich odcieni, żadnymi przepisami religijnymi nie skrepowani.

W celu usunięcia jakichkolwiek możliwych nieporozumień wyraźnie zaznaczyć należy, iż kto pragnie jakiegokolwiek ceremonii religijnej z pogrzebem związanej, ten dyktuje swoje wymagania, które zarząd cmentarny jak najskrupulatniej wykonywa i do tego służą właśnie owe trzy wspaniałe kaplice, z których jedna tylko, i to boczna, posiada najmniej cech kościelnych (np. zwyczajne białe okna zamiast witraży) i w niej to na wyraźne żądanie zmarłego czy jego rodziny, o ile nie ma się odbyć żadna ceremonia religijna, znajdujący się krzyż zostaje specjalną zasłoną zakryty. Jest to zrozumiałe wobec faktu, że pogrzebanie czy spopielenie podlegają na cmentarzu zarówno chrześcijanie, jak wyznawcy Mojżesza czy Mahometa, albo zgoła wolni myśliciele. Na cmentarzu komunalnym a nie wyznaniowym urządzenie to jest całkowicie zrozumiałe i celowe.

Dwie inne kaplice, to znaczy główna, środkowa, i jedna boczna posiadają charakter świątyni chrześcijańskich, a więc odpowiednią architekturę, witraże, organy i t. d. oczywiście na modłę świątyni protestanckich a nie katolickich. Sasi bowiem w 95 procentach są protestantami.

Nie kaplice atoli stanowią godną uwagi i widzenia osobliwość, lecz samo krematorjum i wszystkie z niem związane urządzenia. O wielkości i charakterze budynku daje niejaki pojęcie fakt, że wzniesienie całości kosztowało 1,130,149 marek niemieckich, z czego na samo krematorjum przypada 143.400 marek, a na piece w liczbie trzech 30.000 marek. Wszystkie trzy piece, z których stale czynny jest tylko jeden (dwa inne są zapasowe) są systemu „Schneider-Didier”. Jako materiał opałowego używa się wyłącznie koksu a każdorazowe rozpalenie pieca pochłania prawie półtora centnara koksu.

Krematorjum lipskie zaczęło funkcjonować w roku 1910, w którym spalono zaledwie 478 trupów; potem wprowadzie ilość spaleń rocznie znacznie się powiększyła, ale wzrost nie był stały i regularny, przeciwnie widzimy dość znaczne wahania aż do roku 1920, od którego ze 1164 spaleń doszło w roku 1927 do 2102. Od 1. I. 1910 do chwili obecnej spalono 23,877 ciał. Z tego widać stały obecnie i systematyczny wzrost ilości spopieleni, co świadczy o rosnącym zrozumieniu znaczenia i pożytku spopielenia ciał ludzkich w miejsce ich grzebania. I dzieje się to pomimo faktu, że całkowity koszt **średniego** pogrzebu równa się mniej więcej cenie spopielenia, czyli że pobudki natury materialnej nie mogą tu żadnej odgrywać roli.

W krematorjum lipskiem atoli nie tylko piece są wybornie urządzone, ale całość wiele istotnych przedstawia zalet: duża hala, w której mieszczą się trumny z ciałami zmarłych (każda w oddzielnej ka-

binie) jest stale przewietrzana przy pomocy przesiąkniętego ozonem powietrza, co zapewnia gruntowną i całkowitą wentylację; w oddzielnym pomieszczeniu znajdują się ciała ludzi zmarłych na jakiegokolwiek choroby zakaźne, aby uchronić służbę od niepotrzebnego stykania się z zarazkami chorobotwórczymi; przy tych trupiarniach znajduje się prosektorjum w razie wymaganej przez sąd obdukcji przy podejrzeniach o samobójstwo lub co gorsza zgładzenie kogoś ze świata przy pomocy trucizny czy innego sposobu, co usuwa wszelkie w tym kierunku przez przeciwników kremacji podnoszone zarzuty; czystość jest wszędzie nadzwyczajna, gdyż pomyślano o wszystkim, czego higiena i godne z ciałami ludzkimi obchodzenie się wymagają.

Sądzę atoli, że poza wszelkiego rodzaju refleksjami strona emocjonalna odgrywa tutaj niepowседневną jeżeli nie pierwszorzędną rolę. Rano zwiedziłem dokładnie całe krematorjum oprowadzany przez jednego z funkcjonariuszy cmentarnych, po popudniu zaś uczestniczyłem w pogrzebie, który na mnie wprost niezapomniane uczynił wrażenie. W jednej z bocznych kaplic zebrała się dość poważna ilość ludzi, pragnących oddać zmarłemu ostatnią posługę. Ponieważ było pogrzeb jakiegoś popularnego w kołach sportowych człowieka, przeto współtowarzysze zmarłego wystąpili *in corpore* w mundurach i z chęćmi, co przyczyniło się do podniesienia uroczystości, uświetnionej ponadto dużą ilością pięknych wieńców, grą na organach, kwartetem męskim i oświetleniem ze świec zamiast gazowem, co podnosi nastrój i nadaje ogólnej miękkości tonu.

Przemówienie pastora i trzech współtowarzyszy były hołdem dla cnót i zasług zmarłego. Z powyższego okazuje się, że spopielenie wcale nie sprwadza za sobą jakiejś oschłości, czy jakiejś sztywności, że nie przeszkadza tym wszystkim przejawom żalu za zmarłym, jakim czy — to rodzina, czy przyjaciele i znajomi chcą w ten, czy inny sposób dać wyraz. Przeciwnie koniec tej żałobnej uroczystości przenosi powagą i estetycznością wszystko, co za zwyczaj przy grzebaniu w ziemi nieboszczykowi towarzyszy.

Trumna spoczywa na drewnianej platformie przykryta kirem: po skończonej ceremonii na znak świetlny a więc przez nikogo nie słyszany obsuwa się zwolna i zupełnie cicho przy pomocy specjalnego przyrządu hydraulicznego pod podłogę do komory mieszczącej się przed piecami, a powstały w ten sposób otwór zasuwają znowu zwolna i bez żadnego dźwięku dwie metalowe płyty w kształcie sklepienia, i ceremonia skończona, wszyscy kaplicę opuszczają. Proszę to obecnie porównać z tłoczeniem się na cmentarzu, przyczem niejednokrotnie depte się bez żadnej żenady sąsiednie groby, z opuszczaniem trumny do grobu murowanego na sznurach, przyczem nie obywa się bez uderzenia trumny o ściany grobowca, lub z opuszczaniem trumny do wykopanej na prędce mogiły, czemu zawsze towarzyszy komenda mistrza ceremonii i przykre tarcie wyciąganych z pod trumny sznurów, wreszcie z zasypywaniem trumny i głuchym odgłosem pierwszych na wieko padających grudek ziemi. Ktokolwiek cho-

wał kogokolwiek z blizkich nigdy chyba nie zapomni tego bolesnego wrażenia, jakie cała ta operacja na obecnych wywiera. Jest to przy grzebaniu wprost nieuniknione. Przy kremacji wszystko to odpada, cały zaś obrządek jest nacechowany estetyką i prawdziwą powagą oraz podniosłością chwili.

Spopielenie trwa pół godziny do trzech kwadransy, poczem wydobyte z pieca prochy przestudza się i wysypuje się specjalnej blaszanej puszki, którą po zalutowaniu, opatrzeniu numerem i nazwiskiem umieszcza się w urnie, a tę znowu bądź w kolumbarjum, to znaczy w murowanych niszach, bądź w ziemi w małych mogiłach, wskutek czego ta część cmentarza wygląda jakby cmentarz dzieci wyłącznie.

Na zakończenie drobny, ale charakterystyczny szczegół: przy najskromniejszych pogrzebach za użycie kaplicy nie opłaca się ani feniga, ponieważ zaś trumny z natury rzeczy muszą być albo zwyczajnie drewniane bez żadnych metalowych ozdób (co jest najwłaściwsze), albo z blachy cynkowej najwyżej o 75 mm. grubości, przeto smutny obrządek pogrzebowy nie może na niczyjej kieszeni zaciężyć, co u ludzi biednych lub niezamożnych ważną odegrywa rolę. Jeżeli do tego dodamy jeszcze uwagę, że dla lipszczan najtańsza opłata pogrzebowa wynosi zaledwie 18 marek a miejsce na cmentarzu można mieć już za 7 marek, to znaczy, że śmierć drogiej osoby nie pociąga za sobą rujnujących nieraz wydatków i nie pogarsza i tak już smutnego położenia rzeczy.

Sądzę, że i ten wzgląd powinien nie małą odegrywać rolę zawsze a szczególnie w dzisiejszych tak ciężkich warunkach bytu, w których pozostali przy życiu członkowie rodziny muszą nieraz prawdziwe ponosić ofiary, aby tylko zdobyć się na pogrzeb, odpowiadający ich uczuciom dla zmarłego.

Kto posiada odpowiednie środki może sprawić wspaniałą urnę, może zarezerwować sobie miejsce w kolumbarjum, którego cena dochodzi do 900 marek, i stawiać pomniki, jakie mu się tylko podoba. Spopielenie ciał nie ogranicza zatem wcale kultu dla zmarłych, nie zmniejsza go, nie wykoszlawia, nie usuwa obrządków religijnych, nie uwłacza pamięci nieboszczyków, nie profanuje całego procesu, przeciwnie raczej go podnosi i uszlachetnia a nadto odpowiada wymaganiom nauki i higieny, co w życiu współczesnych pokoleń coraz większą odegrywa rolę i z czem się nam również liczyć należy.

Wojciech Szukiewicz.

#### SPROSTOWANIE.

W związku z artykułem p. t. „Co z Departamentem Sztuki?” zamieszczonym w № 256 z dn. 29. VII. 28 naszego tygodnika, według wyjaśnień O. Piotra Markiewicza. Przeora Jasnogórskiego, prof. Rutkowski za restaurację cudownego obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej otrzymał nie zł. 20.000, lecz 3.500, — co niniejszem prostujemy.

# „GŁOS PRAWDY” LITERACKI

POD REDAKCJĄ J. KADEN-BANDROWSKIEGO

## CONRAD — KORZENIOWSKI

(Dokończenie)

W tym krótkim szkicu, poświęconym twórczości Conrada, chciałbym poddać chociażby pobieżnej analizie kilka najważniejszych jego utworów. Każda jego książka to nie tylko przenikliwa, wzruszająca spowiedź artysty, dla którego sztuka pisania jest apostołowaniem. Każda jego powieść jest otwartą kartą życia, z której przelewa się bujność i potęga żywiołu. W dziełach swoich Conrad wznosi się ponad własne przeżycia, jego doświadczenia osobiste są tylko wstępnym akordem, a każda powieść jest wyrazem jego siły konstrukcyjnej, jego wiedzy i wyobraźni. Powieści jak np. „Lord Jim” są studjami psychologicznymi na temat najbardziej zawiłych zagadnień bohaterstwa i tchórzostwa, które w psychice indywidualnej, posiadają granice bardzo względne. W powieści „Nostromo” nagromadzony mamy cały systemat stosunków i walk, prowadzonych w jednej z republik południowo-amerykańskich z doskonałe nakreślonymi wizerunkami typów, — od zbrodniarzy do apostołów. W „Murzynie z załogi Narcyza” ukazano nam w najczystszych, genialnych formach, jak gdyby namacalnie i naocznie, czem jest naprawdę morze, jego siła i potęga, jego wrogość i namiętność. I, czem jest człowiek, który walczy z nienawiścią żywiołu i w walce tej zwycięża. Egzaltacja walki ustępuje miejsca przedziwnie głębokiej i demonicznej psychologii w najlepszej jego powieści, „Zwycięstwo”, która stanowi niejako szczyt twórczości narracyjnej i pisarskiej. Technika artystyczna Conrada wzniosła się w tej książce na wyrafinowane wyżyny prostoty. Już nie tylko bohater tej książki, cudowny fantasta Heyst, lub para ponurych zbrodniarzy i postać kobiety, biednej nieszczęśliwej ofiary z damskiej kapeli, budzą w nas podziw dla umiaru i wnikliwości artystycznej wielkiego pisarza, ale konstrukcja powieściowa tej książki, każde jej zdanie jest nabrzmięte poczuciem nieskończoności. W tej powieści za każdym słowem kryje się wieczność.

Z entuzjazmem i z uczuciem wzniosłej melancholji odchodzi się od każdej książki Conrada. Bo pomimo drobiazgowych uzasadnień psychologicznych, pomimo wnikliwego objektivizmu, z jakim wielki pisarz buduje ciało i duszę człowieka, — otwiera się przed czytelnikiem co krok tajemnicze morze ciemności, na którym tli się świadomość ludzka, jak słaby płomyk.

Gdzie jest początek i źródło naszej woli, potęgi i dobroci serca? Czem jest los i przeznaczenie nigdy nieogarnięte, zawsze niespodziewane, z konieczności tragiczne?

Conrad jest nieubłaganym latarnikiem wśród odmetów żywiołu. Dzień słoneczny jest zawsze przysłonięty cieniem drzew cyprysowych, w wesołych

kaskadach śmiechu, tai się przyczajona troska i przeżalenie, a ludzie prości, twardzi, nieskomplikowani, marynarze, fermerzy i oficerowie, w twarde oświetleniu powieściopisarza, stają się nagle nieodgadniętą tajemnicą — jak ów plantator z Malaty, — hieroglifem duszy, z którym już nie tylko czytelnikowi, ale i samemu autorowi przychodzi walczyć o rozwiązanie zagadki, o wydarcie prawdy z psychiki człowieka.

W technice powieściowej Conrada, a szczególnie w budowaniu przez niego postaci, to jest zastanawiające, że człowiek przezeń stworzony, żyje swoim samoistnym życiem, że przestaje być wymysłem, a nabiera cech plastycznej rzeczywistości, która siłą swą narzuca się pisarzowi i zmusza go do zupełnego objektivizmu.

Stąd płynie ta wyjątkowość Conradowych ludzi. Są oni zawsze dobrze znani, chociaż nigdy nie ogarnięci do głębi. Zawsze skłonni do odskoków i posunięć, mających swe źródło w instynkcie i podświadomości. Elementem podświadomości posługuje się Conrad jak żaden ze znanych pisarzy.

Dookoła każdej jego postaci uwita jest aureola tajemnicy, w której zanurzone jest morze, świat i człowiek. I dopiero na tle tej zasłony z cieniów, będącej jakby olbrzymim ołtarzem, postawionym na bezkresach życia przez mistyczne i religijne umiłowania pisarza, rozgrywa się każdy fragment prozy Conrada.

Twórczość jego ma charakter misteryjny, bo urzeczywistnia się w niej odwieczne wyrównywanie człowieka z Bogiem, aktualności z nieprzemijaniem. W każdym pejzażu zobaczonym przelotnie, w każdym domu, w rozbitej łodzi, czy w spokojnie połyskującej tafli morskiej, w każdej jego noweli, w „Niesamowitych opowieściach” w „Smudze cienia” odbija się nieśmiertelność ludzkiej udręki, poczucie twardego boju i konieczności walki. W nastawieniu psychicznym najędźniejszego kaleki czy najdumniejszego włóczęgi, człowieka o dobrym sercu czy o przewrotnych namiętnościach, uderza jeden wspólny rys, rys dumy, bohaterstwa i gotowości do ofiary.

Ów ton wzniosłej powagi, surowej serdeczności i mądrej zadumy, który wybija się ponad egzotyczny tok opowiadań, sprawia, że każdą książkę Conrada, każdą jego nowelę, czyta się, jak hymn, poświęcony dumnym rozważaniom świetności typu ludzkiego, który w upartej walce z otaczającym go żywiołem morza, ładu i różnych przeciwności, umiał albo ostać się zwycięsko, albo tragicznie zginać, pieczętując znakiem swej śmierci boskie powołanie człowieka. Zwycięski sztandar człowieka, wyzwolonego ze wszystkich przesądów, konwencji, rasy i narodowości, powiewa nad twórczością nieśmiertelnego pisarza.

Nagła i nieoczekiwana śmierć Conrada okryła żałobą piśmiennictwo angielskie. I nie tylko angielskie. Literaci francuscy, wśród których miał lic-



nych i znakomitych wielbicieli, poświęcili pamięci zmarłego książkę, w której zabrali głos artyści tej miary i talentu co Paul Valery, André Gide, Lenormand, Maurois, Aubry, Kessel, a z anglików, Galtsworthy, Graham, Curle i wielu innych.

Epitafjum złożone na grobie pisarza przez najbardziej powołanych artystów i krytyków, głosi nieśmiertelność jego geniuszu i niezwykłą wielkość jego serca. Szczegóły i drobiazgi, zawarte w tych artykułach i wspomnieniach, pozwalają nam wejrzeć w najciekawszą dla nas sferę uczuciowości i sentymentu Conrada. Była ona zawsze i pozostała do końca rdzennie polską. W ocenie zjawisk artystycznych i politycznych, w negatywnym stosunku, gwałtownym niemal i niechętnym do Dostojewskiego, w ujmowaniu zagadnienia rosyjskiego — czemu dał wyraz w swej powieści p. t. „W oczach Zachodu” — a nawet w stosunkach czysto towarzyskich. Nie brał udziału w przyjęciach, na których mógł spotkać oficjalne osobistości z ówczesnego świata rosyjskiego, a w czasie wojny, w r. 1916 i 19-ym ogłosił szereg artykułów o sprawie polskiej, w których występował za złączeniem rozerwanych części narodu.

Dlatego mówiąc o Conradzie — i doceniając jego znaczenie dla literatury angielskiej, mamy prawo widzieć w nim jeden z najświetniejszych wyrazów polskiego geniuszu i polskiego ducha.

*E. Breiter.*

## ŻONGLER

*Dobrze jest nie mieć domu. I z miasta do miasta  
Płynąć piaszczystą szosą, co płonie w upale  
I na cienistych placach zmienacka wyrastać,  
W Warszawie widzów się kąpać, jak w zwycięstwa chwale.*

*I nie podążyć nigdzie i nigdy nie wracać.  
I za cały majątek mieć budę cyrkową.  
Nie schylać dumnej głowy w ciężkie jarzmo pracy.  
I zawsze być tym samym. I ciągle być nowym.*

*Na końcu ostrza szpadę z uśmiechem podrzucać,  
Balansować na linie, wypiętej jak struna  
I czuć, że w wszystkich sercach zimny strach przykuca,  
Kiedy mi radość bije w młodą twarz jak luna.*

*Lecz zastygną dopiero (jak bezduszne kreggle,  
Które stracę staleństwem — twardym kuli ciosem),  
Gdy z ogniska żarzące wydobywam węgle  
I powoli palcami do ust je podnoszę.*

*A oczy urzeczzone idą za płomieniem,  
Co z pośród białych zębów sypie węże blasków  
I zwolna ginie w gardle i ciemnością żenie —  
Aż pęka cisza. Bucha grzmot nagłych oklasków.*

\*\*\*

*Dobrze jest nigdzie nie iść i nigdy nie wracać  
I za cały majątek mieć budę cyrkową.*

*Nie schylać dumnej głowy w ciężkie jarzmo pracy.  
I zawsze być tym samym. I ciągle być nowym.*

*Że trwonię młode siły, niech serce niczyje  
Nie zasmuca. Moc żadna życia mi nie zmieni,  
Choć wiem, że niespodzianie mię kiedyś zabije...  
Ten z którym igras — rudy, mściwy bies płomieni.*

DANIEL IHR.

Z TRYLOGJI BOHDANA ŁEPKY'EGO — „MAZEPA”

## CAR PIOTR U MAZEPEY

(Ciąg dalszy).

— „Jego cesarska mość” — próbował usprawiedliwić cara Mienszikow, ale Piotr nie dał mu przyjść do słowa: „A głupi ty jesteś, Iwanie Stepanowiczu, dlatego, że nas tak znakomicie gościsz. Moi ludzie i tak nie dają mi spokoju, każdy chce na Ukrainę. „Pozwól, batiuszko, powiada — pójść do Kijowa i obłowić się porządnie, bo pod twojem okiem w Moskwie trudno. „Co? Nie?... Otóż to jeśli ta uczta jeszcze jaką godzinę potrwa, to nawet Danilicz na Ukrainę iść zechce. Nie przecz, książę, nie przecz, powiedziałeś przecie że wszystko, co tylko car mówi, prawda, a więc i teraz prawda: jeszcze godzina takiego ucztowania i zapragniesz hetmańskiej buławy...”

Car już porządnie był wypił i co w sercu to miał na języku. Od trunku i od gorąca ponabrzmiwały mu żyły na skroniach i na wielkich, wężlastych rękach. Marszczyło się wysokie czoło, a oczy z orbit zda się wyskoczyć chciały. Kiwał nerwowo głową, trzęsły się pukle bujnych włosów, podobny był do lwa, szukającego ofiary.

Podano nową potrawę. Z kawałków rozmaitego mięsiwa wyrobiony był po mistrzowsku jeleń, spoczywający na jarzynach różnych, jak na murawie w lesie. Do mięsa podawano w sosjerach cztery podlewki: czarną, żółtą, różową i czerwoną, jaką kto chciał. Ostatnia była z pomidorów, które właśnie wtenczas w modę wchodziły. W podlewce tej pływały całe, piękne, czerwone owoce, nadziewane tak smacznym farszem, że kto spróbował, już i mięsa nie jadł, a tylko tej podlewki kazał sobie podawać.

Jeden z carskich ludzi, niedość zgrabnie nabierał potrawy i pomidor potoczył się po białym obrusie, pozostawiając czerwony ślad.

Car zakipiał. Całe jego olbrzymie ciało drgnęło, grzywa zjeżyła się, męskie wargi rozwarły, pokazując wielkie, rzadkie zęby. Wszyscy wiedzieli, że gniew zrywa się nagle, jak w lecie burza i wówczas niema takiej siły, która by go mogła powstrzymać. Jak burza gruchotał wszystko dokoła, jak rozpętany element niszczył i rujnował i uspokajał się dopiero we śnie. Carskim ludziom dusza w pięty uciekła, wytrzeźwieli naraz, oblicza ich jasne przed chwilą — pobladły, a oczy z uśmiechniętych stały się przerażonemi.

Katastrofa wisiała w powietrzu.

Ale car, zdaje się przypomniał sobie, gdzie jest i z jego szerokich piersi, jak z kowalskiego miecha dobyło się ciężkie westchnienie. Mimo to jednak chwycił rumiany chlebek i cisnął nim prosto w twarz swego niezgrabnego „człowieka”.

— I wóz że się tutaj z takimi Azjatami, — zwrócił się do Mienszikowa. „Do stajni z nim, nie do Europy, — bydle!... Uf!... Jaka gorąc... Możeby jeszcze anyżówki?”

— Od alkoholu, — odrzekł Mienszikow, — śmien zauważać, temperatura się podnosi.

— U ciebie, a u mnie: klin klinem wybijają. Nalewaj, Iwanie Stepanowiczu!

Hetman nalał, orkiestra zagrała hucznego marsza, car wypił, obtarł usta i czoło chustką i rzucił ją poza siebie, trafiając tym razem w okno.

— Słyszaleś, Iwanie Stepanowiczu, jaki to ja skąpy? Mówią, że cyrkiel noszę w kieszeni i, kiedy służba nie widzi, chleb nim po obiedzie mierzę, a przed kolacją przemierzam, czy nie ukradli. Ha, ha, ha! Niech mówią, nie zaszkodzi. U nas i tak złodziej na złodzieju jedzie i złodziejem pogania. Niechaj się na ostrożności mają! Prawda, Danilicz?... I mówią jeszcze, że kiedy się rozsierdzą, to na rzeźnię biegnę i wołom głowy ścinam, niby dokoła mnie i bez tego wołów niema; wołów, osłów, capów i wszelakiego bydła... Ale temu północnemu „sztucerowi” Karolowi te jego cienkie nogi poderwać muszę; za prędko on mi niemi po Europie biega. I tę resztę włosów wyskubię, bo i tak mu sterczą jak grzebień koguci. Abym go raz tylko do rąk moich dostał?”

— Dostaniemy, wasza cesarska mości, — podlizywał się carowi Mienszikow. Przy pierwszej okazji schwytamy.

— Kto? Ty go chwycisz, Sasza? Cha-cha-cha! Ot, tknął, jak palcem w niebo. Karol XII awanturnik. Szwedów do zguby prowadzi. Ale bohater! Jeśli nie lew, to tygrys, albo lampart, a ty — ty tylko lis. Rozumiesz? — lis. A lis tygrysowi nie para.

Carowi kurzyło się z głowy. Myśli nie trzymały się kupy. — Lubię ją laufrów, a moi ludzie chodzą jak niedźwiedzie. Zawsze im się zdaje, że chałatami moskiewskie błoto zgartują. Wciąż jeszcze ręką za brodę mac! — a brodę car wziął i dobrze, że głowę zostawił, bo i ta im nie bardzo potrzebna. Główna za wiele, a rozum „czart ma”. Ale ja przecież ten rozum z nich dobędę, jeżeli nie inaczej, to dubinką. Prawda, książę, znakomita moja dubinka?!...

Trafiwszy na ulubiony temat, chwalił się, czego to nie robi. Jeżeli Petersburg mu się uprzykrzy, to Carogród zdobędzie, krzyż na św. Sofji utwierdzi, Śródziemne morze flotą swoją zamknie i na Indje pójdzie, gdyż w miejscu stać nie lubi.

Car mówił, wszyscy milczeli i słuchali pobożnie, tylko krojczy biegali i służba szybko zbierała ze stołu naczynie i podawała nowe. Stały tego całe stopy w kredensie; srebrne talerze i półmiski, noże i widelce różnych fasonów i rozmaitych rozmiarów. Car jadł ze złotego naczynia, ale noża i widelców nie używał, mięso palcami darł, bo mówił, że tak Henryk VIII robił.

Służba zmieniła obrus. Zamiast białego, z cienkiego llnianego płótna, nakryto stół jedwabnym, bładoniebieskim, ze złotymi ręcznie haftowanymi kwiatami. Zamiast srebrnych talerzy podano fajansowe z wizerunkami kozaków i koni, koło namiotów i kramów, w których urocze szynkareczki miód i wódkę sprzedają.

Do sali weszło dwunastu chłopców w jasnobłękitnych czemerkach ze złotymi guzikami i takimiż potrzebami. Czterech dźwigało ogromną srebrną tacę pod biskoptową

pokrywą. Inni w kryształowych naczyniach roznosili słodkie szody, smażone owoce, turecki miód i sorbety. Ci, z tacą, podbiegli szybko i stanęli między carem i hetmanem. Hetman podniósł pokrywę i ukazał się Petersburg, carski dworek i port, a w porcie okręt. Morze — to była słodka galareta, budynki — z biskoptowego ciasta i z lodów. Na dachach i na słupach cukier, — jak śnieg. Wszystko to było tak misternie wykonane, że car nie mógł się nachwalić; mówił, iż gdyby to nie było w lecie, zawiozłby ten „kunszytk” carycy.

Nabrał lodów pełną złotą łyżkę, nałożył hetmanowi i „kunszytk” powędrował dalej.

(n.)

## NA MARGINESIE

Sumienny, znakomicie orjentujący się w literackim ruchu polskim redaktor Prager-Presse (Magr) w jednym z ostatnich numerów lipcowych pomieszcza za więzłą, lecz wyczerpującą ocenę książki L. Pomirowskiego „Doktryna a Twórczość”. Zdaniem p. Magra książka Pomirowskiego należy do rzędu najwybitniejszych zjawisk w literaturze krytycznej polskiej w ostatnim czasie, stanowi godziwą estetyczną reakcję przeciw zdawkowemu utylityzmowi patriotycznemu w krytyce. Magr podkreśla z szacunkiem powagę i rzetelną namietność krytyczną, z jaką Pomirowski walczy o utwierdzenie wysuniętych przez siebie problemów.

Jest rzeczą niedwuznacznie świadczącą, — niestety, — o pilności naszej myśli krytycznej, gdy się zważy, że książka Pomirowskiego, omawiana już w obcej prasie, nie doczekała się jeszcze u nas fachowej dyskusji, czy poważnej rozprawy krytycznej.

\*\*

Historyczno - Geograficzna Biblioteczka Roju dobiegła już do setnego numeru przynosząc w 100—101-ym numerze krótką rozprawkę Prof. uniwersytetu wileńskiego Janusza Iwaszkiewicza p. t. Wielka Prowokacja (rzekomy rząd narodowy 1865 r.).

Jeszcze dziś mimo, iż przecie oddychamy wolnością, książeczkę prof. Iwaszkiewicza czyta się — ze zgrozą i przerażeniem. Opis stosunków panujących po powstaniu 63 roku, opis upadku ducha i podłości słabszych jednostek wstrząsa do głębi. Prawdziwe — piekło niewoli, przez jakie w XIX stuleciu nie przeszedł chyba żaden naród w Europie.

Biblioteczka Historyczno - geograficzna Roju bardzo tania, pisana naogół poprawnie i przystępnie ma wcale okazałe zasługi popularyzatorskie: Ukazał się tu cały szereg prac z tragicznych czasów b. Królestwa z 1905 i 1906-go roku, tu wyszedł nader żywo pisany cykl morski z czasów wojny światowej St. Wojtkiewicza, wiele drobnych bardzo pożytecznych informacyjnie prac o szpiegostwie, wreszcie dużo książeczek o treści podróżniczo-naukowej.

O ile wiemy mała biblioteczka Roju cieszy się wśród mas czytelnicych dużym powodzeniem. Powodzenie to — zasłużone.

\*\*

Kazimierz Leczycki w powieści swej p. t. Państewko (Gebethner i Wolff) przystąpił do zadania, któremu nie potrafił sprostać. Względnie podszedł do swego zadania od złej strony: Autorowi chodziło o to, by pokazać wszystkie wysiłki młodzieży zaboru rosyjskiego z kresów, podejmowane gwoźli wywalczenia niepodległości. Aby zadanie takie dobrze powieściowo przeprowadzić, trzeba przede wszystkim dokonać umiejętnego zogniskowania tematu. Zdecydować się, — czy chodzi o powieść, czy też o beletryzowaną kronikę wypadków. Jeżeli chodzi o powieść, — ująć ją w kilka zasadniczych postaci, oprócz o jednolite tło i prowadzić konflikt powieściowy. Jeżeli zależy na kronice, — porzucić zamiary powieściowe nie bowiem w gruncie rzeczy nie stoi tak daleko od siebie, jak kronika wypadków a zorganizowana celowo akcja powieściowa.

Leczycki nie potrafił wyboru koniecznego dokonać i cała rzecz załamała się w pomieszaniu dwóch odpychających się wzajemnie elementów pisarskich.

Trudno z tego nieporozumienia twórczego, jakim jest „Państewko” sądzić o talencie autora. Mniemamy, — mimo wszystko, iż p. Leczycki posiada talent, nie umie jednak skupiać go dostatecznie. Jeden z końcowych ustępów powieści o rewolucji wśród wojsk niemieckich i wystąpieniu gen. Falkenhayna, ujęty w szerokich syntetycznych gestach i kolorach świadczyły o niewątpliwym darze widzenia i odczuwania. Musi jednak p. Leczycki powiedzieć sobie, przystępując do pracy, że nim znacznie pisać wybuduje, ściśle odmierzy i ustali to, co chce napisać.

Najpierw budowa, — potem pisanie.

\*\*

Na chorobę pisania, raczej na nadmiar pisania cierpi też, stanowczo utalentowany Jerzy Brzęczkowski w wydanych przez Rój „Ludziach Legendy”.

Brzęczkowski starał się ukazać młodą dziewczynę, egzotycznie chowaną, która w walce z powstającym instynktem życia, dojrzałości, „ciała”, — upada i niszczeje.

Zorganizował jednak p. J. Brzęczkowski tak bardzo dowolnie czy fatalistycznie przeżycia i losy swej bohaterki głównej, iż bohaterka ta nigdy świadomie nie działa, a powodują nią stany afektu przypadkowego (naprzykład choćby pijaństwo). Człowiek, rządony stale przypadkiem nie jest człowiekiem zupełnym a raczej okazem patologicznym, zgola poronionym, jeżeli sam autor patologii owej nie dostrzeże.

Brzęczkowskiemu zbyt gorąco zależy na samym pisaniu i dla tego stylizując, — przestyliizowuje. W stylizacji tej gubi się konkretność osób, akcji, miejsca, czasu, ba, gubi się wreszcie nawet struktura zdania, wpadająca w niebezpieczny (przez Wołoszynowskiego w Panu Twardowskim już) nadużyty skrót: Jest to używane całymi stronicami nieomal zdanie bez orzeczenia, często bez podmiotu, rzekomo sam ruch, sama tendencja, przeradzająca się w martwą plamę i nic nie znaczącą pauzę.

A jednak warto, by Brzęczkowski pracował nad sobą. Widzi, intuicyjnie odczuwa odmiennosc charakterów ludzkich, umie je uwypuklać nieznacznie, lekko a celowo, orientuje się w rytmie i natężeniu opowiadającej prozy.

Gdyby chciał — nie śpieszyć się tak bardzo, mniej pisać, w sensie rozlewności słowa i ornamentu a więcej w jaknajprostszym słowie wyrażać. Wyrażać, — w odniesieniu do całości tematu!

\*\*

W Białej Podlaskiej, w związku z jubileuszem 300-lecia szkoły, do której uczęszczał J. I. Kraszewski ma stanąć w tym roku jeszcze pomnik Kraszewskiego z funduszu zebranego przez społeczeństwo. W Zaleszczykach na domu, w którym J. Kasprowicz pisał swój Hymn „Święty Boże” (1899) wmurowana ma być tablica pamiątkowa.

Notujemy z radością te objawy pietyzmu dla wielkich twórców naszych, tem bardziej, iż pietyzm ów wychodzi z małych „prowincjonalnych” miast. Niejednokrotnie mogłyby one dać przykład Warszawie, która tak niewiele jeszcze zdziałała dla uczczenia pamięci tylu wielkich pisarzy, całe swe twórcze życie spędzających w jej murach.

\*\*

W 8-ym numerze Dźwigni czytamy następujące sprostowanie:

„W Robotniku z dnia 24 czerwca rb. Karol Irzykowski w końcu artykułu „Wypaczenie idei Żeromskiego zalicza niżej podpisanych do grona zwolenników Izby (Rady) Literackiej. Stwierdzamy, że wprowadzie każdy z nas rozmawiał z Irzykowskim zarówno na temat Izby jak i na temat innych zagadnień życia literackiego, jednak akcesu do Izby nie zgłaszaliśmy i zgłaszać nie mogli ze względów zasadniczych. Zaliczenie nas do zwolenników Izby, czy Rady Literackiej uważamy za nieporozumienie, które niniejszem prostujemy”.

Władysław Broniewski

Witold Wandurski

Jkb.

SZALOM ASZ. (Paryż).

## HUSARSKA PIOSENKA\*)

Zimę 1905 roku spędziłem w Zakopanem. Przypadła mi wówczas w udziale szczęśliwa możność zaznajomienia się z najpiękniejszymi i najuczciwszymi duchami narodu polskiego — z ludźmi, którzy w życiu swoim i w swej działalności zawsze służyli mi przykładem. Od nich też czerpałem wskazania, w jaki sposób mam się ustosunkować do mego zawodu. A chociaż żaden z nich nie pozostał już dziś przy życiu, noszę z sobą ich jasne wspomnienie, opromienione słońcem mojej młodości.

Pewnego wieczora znalazłem się u pani Dąbrowskiej w jej zakopiańskiej „chałupie”. Pani Dąbrowska była przyjaciółką najznakomitszych pisarzy i artystów polskich. U niej spotykali się Sienkiewicz, Żeromski, Witkiewicz i inne wielkie duchy, przewijające się przez Zakopane. W jej domu znajdowało się małe muzeum tatrzańskiej sztuki ludowej. Sądzę również, że przy jej po-

\*) Na łamach jubileuszowego numeru „Hajnta” kreśli powyższe wspomnienie znakomity pisarz żydowski, Szalom Asz.

mocy udało się niezapomnianemu Stanisławowi Witkiewiczowi udoskonalić i wysubtelnić sztukę zakopiańską, która obecnie przemienia się w polski styl narodowy.

Pewnego wieczoru znaleźli się w zakopiańskiej chałupie pani Dąbrowskiej, zastawionej wyrobami miejscowych górali, Witkiewicz, malarz Stanisławski, Stefan Żeromski i jego mały sympatyczny siedmioletni syn, Adaś.

Twórca „Popiołów” patrzył wówczas na swego małego, niebezpiecznie chorego synka, jak na cudo. Miłość poety do dziecka była nie do opisania. Zdawało się, że w małym, słabym ciałku Adasia mieszczą się serce i duża wielkiego pisarza polskiego.

Nigdy nie widywano Żeromskiego samego. Na wszystkie swe spacerunki wiodł ze sobą dziecko. Bywał z niem we wszystkich towarzystwach i zdaje mi się, iż mały Adaś nasłuchiwał się dziennie więcej o sztuce strategicznej, niż aspirant oficerski w szkole kadeckiej. Spacerując, zwykł był Żeromski opracowywać plany przyszłych bitew polskich, na których temat chętnie puszczał wodze swej fantazji. Mały Adaś przysłuchiwał się również wszystkim rozmowom o literaturze, o stronniczkach polskich, o wyniku wojny rosyjsko-japońskiej, o której wówczas zapalczywie dyskutowano w kołach polskich. Mały Adaś wiedział znacznie więcej o literaturze i polityce, niż o zabawach dziecięcych.

Żeromski brał go zwykle wszędzie, dokąd się tylko udawał, nie spuszczać z niego oczu. Przypominam sobie, że Żeromski żalił się też wiosny na Wyspiańskiego z powodu następującego wypadku: Czuły ojciec zapragnął bardzo pokazać Adasiowi „Wesele” Wyspiańskiego. Wyspiański, pokłócony z ówczesnym dyrektorem krakowskiego teatru miejskiego, Kotarbińskim, zabronił wystawienia swych utworów scenicznych. Kiedy Żeromski zwrócił się do Kotarbińskiego w sprawie wystawienia „Wesela”, otrzymał od niego odpowiedź, iż jest gotów spełnić jego prośbę, tylko musi dlań wydostać od Wyspiańskiego pozwolenie na odegranie tej sztuki. Żeromski prosił Wyspiańskiego o pozwolenie na jednorazowe odegranie „Wesela”, gdyż pragnie bardzo, aby Adaś miał możność przed opuszczeniem Galicji (Żeromski wracał wówczas do Kongresówki) zobaczenia tego patryjotycznego utworu, który był zabroniony w zaborze rosyjskim. Nie licząc się jednak ze wszystkimi prośbami Żeromskiego, obstawał Wyspiański twardo przy swoim i nie udzielił tego pozwolenia.

Jak już wspominałem, znalazł się owego wieczoru u pani Dąbrowskiej malarz Stanisławski, który przyjechał do Zakopanego ze swoją klasą studentów. Stanisławski był to mężczyzna dość tęgą, a z twarzy jego, okolonej brodą jaśniała dobroć i szlachetność. Tegoż wieczora wziął Stanisławski małego Adasia na swe kolana, a dzieciak huśtał się na jego tęgim brzuchu, jakby na dobrze wytresowanym niedźwiedziu domowym. Mały Adaś galopował na kolanach artysty, a Stanisławski podskakiwał nucąc starą polską piosenkę huzarską.

Nie pomnę słów tej pieśni, wiem tylko, że mowa tam o huzarze, który spada z konia. Konie towarzyszy tratuja jego ciało i jadą dalej.

— A dlaczego go tratuja? — pyta posmutniały, mały Adaś.

— Dlatego, że spadł z konia.

— A oni jadą dalej? — pyta dalej mały Adaś, wytrzeszczając niebieskie oczy podczas gdy jego jasna twarzyczka wyraża niezwykle zdziwienie.

— A oni jadą dalej, dalej, dalej... — podśpiewuje Stanisławski.

— Co to za pieśń? — zapytuje znowu ze smutkiem mały Adaś, jakby się w jego małym, słabym ciałku przerwała jakaś struna.

— To jest pieśń, którą śpiewali polscy huzarzy.

— Polscy huzarzy, cóż to takiego? — zamęcza mały Adaś w dalszym ciągu pytaniami.

Wszystkich nużyły te pytania. Stanisławski wziął ołówek i narysował małemu Adasiowi polskiego huzara, jadącego na koniu i wskazując na obrazek rzekł: tak oto wyglądał żołnierz polski.

— Czy to już dawno temu? — pyta znowu małe.

— O tak! — rzucił ktoś w odpowiedzi.

Byłem świadkiem tej sceny i nie wiem dlaczego zrobiła na mnie tak silne wrażenie, iż sobie często przypominam ów mały, nic nie mówiący epizod. Podczas tej rozmowy usiłowałem odtworzyć w mej fantazji minione czasy polskiego życia państwowego — obraz jadących polskich huzarów, jednego z nich spadającego z konia i towarzyszy, którzy go tratuja i jadą dalej. Muszę wyznać, iż nie mogłem sobie nigdy wyobrazić tej sceny, jako coś rzeczywistego. Dawne polskie życie państwowe i własna jadąca huzarja należały do świata legend i fantazji. Chociaż wiara w odrodzenie Polski żyła wówczas głęboko w naszych sercach, to jednak widok polskiego huzara, nie wychodził poza ramy obrazu w polskim muzeum narodowym w Krakowie. Wśród ówczesnych stosunków nie podobna było nawiązać między tym obrazem, a realnym życiem w bliższej i dalszej przyszłości, tak, że musiało się to pozostawić niewykorzystanym światom cudów i mesjanistycznych snów.

Owi ludzie natomiast, którzy siedzieli w ciepłej góralskiej chałupie, byli tak bardzo żywi, tak nawskroś realni, tak rześcy!

Tęgi Stanisławski, o dobrotliwej twarzy, poważny, zacięty wiecznym uśmiechem przyobleczonego Żeromski, mały dziecinny Adaś, o wielkich oczach, i niski, pełen mądrości Stanisław Witkiewicz, który siedział założywszy swe kościste dłonie na kolanach, zdając się wszystko rozumieć i dlatego też wszystko kochać!

Przed kilkoma miesiącami znalazłem się na ulicach Warszawy. Z Alej nadjeżdża na koniach szwadron kawalerji, z trębaczem na czele. Nie wiem czy byli to huzarzy. Jestem w sprawach wojskowych bardzo mało kompetentny i nie mógłbym powiedzieć, że wojsko wywołuje we mnie często radosne i dobre uczucia i myśli. Wojskowa muzyka pobudza powierzchownie moje dziecięce tęsknoty, które przetrwały jeszcze w mych kościach z czasów „urwisowskich”. Ale wojna i związane z nią nieszczęścia wszelakiego rodzaju, pozostawiły we mnie wieczną nieprzewycięzoną obawę na widok wojska, niezależnie od tego, w jakich ono występuje kolorach. Nie mogłem również odpędzić od siebie tej obawy myślą, iż to, co teraz nadciąga, stanowi żelazną obręcz kraju i narodu, który mi jest bliski i drogi, będąc zarazem jedynym prawnym i konkretnym obrońcą mej osobistej wolności. Muszę wyznać, że mimo te wszystkie usprawiedliwienia, poczułem iż, tkwi snąc jeszcze głęboko w moim spojrzeniu wiele z przedwojennego marzycielstwa.

Tylko tym razem zwróciła moją uwagę piosenka, którą jeźdźcy śpiewali — piosenka, która wydawała mi się być znaną, tak że wsłuchiwałem się w jej słowa.

Była tu mowa o huzarze, który spada z konia, a towarzysze go trują i jadą dalej.

A więc — to są właściwie polscy huzarzy.

Przetarłem oczy, dotknąłem moich rąk, aby się przekonać, czy czasami nie śnię. Dotknąłem przydrożnej ściany, aby się przekonać, czy znajdują ją w rzeczywistości na ulicy. Chciałem dotknąć światła dziennego, aby się przekonać, czy jest to prawdziwy dzień!

Nie wiem, dlaczego sobie właśnie w tej chwili przypomniałem ów mały epizod w mieszkaniu pani Dąbrowskiej i pomyślałem:

Stanisławski, który tę piosenkę śpiewał już nie żyje. Mały Adaś, który jeździł na jego kolanach, odszedł w zaświaty. Witkiewicz należy już do umarłych — a może i ja również nie żyję. Tylko piosenka w ustach młodych, zdrowych ludzi i rżące konie — żyją. Można ich nie tylko słuchać, ale i wyczuć w powiewie wiatru i w szumie, który wokół wytwarzali: jeźdźcy i konie.

Ów mały epizod nauczył mnie, iż należy sądzić życie i śmierć tak rzeczy, jak i ludzi — z zupełnie innego punktu widzenia, a nietylko na podstawie dzisiejszego, faktycznego stanu rzeczy.

Pomyślcie nad tem.

## NA NOWYCH DROGACH HUMANISTYKI\*)

Wielki wzrost kultury obiektywnej przy końcu w. XIX i na początku XX sprawił, że świat kultury ogromem swoim i bogactwem przytłoczył umysł nowoczesnego człowieka. Z drugiej zaś strony bogactwo tej kultury sprawiło, że zjawiska do niej należące zaczęto uważać za świat samoistny, posiadający swoją własną logikę rozwoju, niezależną od wpływów świata natury. Takie postawienie sprawy musiało wywołać przewrót w metodach nauk humanistycznych, przedmiotem których są właśnie zjawiska kulturalne. Metody nauk przyrodniczych nie mogły już pasować do badania zjawisk tworzących niezależny świat duchowy. Zaczęto gorączkowo poszukiwać nowych dróg i sposobów rozumienia tego świata.

Ruch ten rozwinął się głównie w Niemczech, a to zapewne przez wzgląd na zamiłowanie germańskie do spekulacji myślowych, ale może i także był on wynikiem reakcji na pedantyzm niemiecki, który wyżyławszy do maximum dawne metody badań, wywołał zrozumięcia przesyt. W każdym razie te nowe sposoby podejścia do wytworów ducha są wysoce znamienne i ciekawe i nie mogą one być zapoznawane przez naukowców, w szczególności zaś przez krytykę i historję literatury. To też dużą przysługę nauce polskiej oddał B. Suchodolski swoją książką p. t. „Przebudowa nauk humanistycznych”, która pozwala zorientować się w podstawowych dla współczesnej humanistyki założeniach i kierunkach metodologicznych.

\*) Bogdan Suchodolski. Przebudowa nauk humanistycznych. Ossolineum. Warszawa, 1928.

Przeciwstawienie świata humanistycznego światu przyrodniczemu ma przede wszystkim uzasadnienie w odmiennej teorii poznania. „Poznajemy przedmioty humanistyczne przez to, że je **rozumiemy**; przedmioty przyrodnicze przez to, że je **wyjaśniamy**” (np. przez związki przyczynowe). Potocznie rzecz biorąc wyrazy „rozumiemy” i „wyjaśniamy” są w dość bliskim ze sobą związku. Znaczenie tych słów jako terminów wyjaśnia najlepiej przykład. Przedmiot czy zjawisko przyrodnicze (np. piorun — drzewo) są rzeczywistością samoistną. Poznać w sensie naukowym te zjawiska znaczy wyjaśnić jak one powstały, jakie są ich składniki i t. p. Inaczej się rzecz przedstawia z przedmiotami świata humanistycznego; wprawdzie i one także mogą być rozpatrywane jako rzeczywistość samoistna, lecz poza tem są one jeszcze **znakami**, które zawierają w sobie jakiś niematerialny i niepsychiczny **sens**, bez względu na to czy to będzie strzała wskazująca drogę czy jakiś zdanie; poznać takie zjawiska znaczy zrozumieć ich sens.

Teorii ponania świata humanistycznego poświęcony jest pierwszy rozdział pracy B. Suchodolskiego

Zasadnicza jednak koncepcja **rozumienia** (zapoczątkowana przez Dilthey'a) rozbita zostaje na: 1) rozumienie świata psychicznego (osób) i 2) rozumienie świata duchowego (sensów). To przyjęcie istnienia niepsychicznej i niematerialnej rzeczywistości duchowej ma właśnie doniosłe i brzemienne w konsekwencjach znaczenie. Prowadzi ona m. inn. do określenia istoty kultury. Współczesne teorie zlikwidowały wszechwładny w końcu XIX w. psychologizm, który wszystkie zjawiska humanistyczne sprowadzał do przeżyć psychicznych — przeciwstawiły mu natomiast odróżnienie psychiki i ducha. Zatem poszło rozróżnienie kultury subiektywnej i obiektywnej. Kultura obiektywna to duchowa zawartość danej kultury, — subiektywna zaś, to przeżycia jednostek aktualizujących tę zawartość.

Na pytanie, jak może istnieć kultura jako samoistnie rozwijający się świat, mamy odpowiedź następującą: powstają pewne wytwory; są one wyrazem świata psychicznego i posiadają jakiś sens duchowy. Jako wytwory usamodzielniają się wszakże i odrywają od podłoża, z którego powstały; trwają nadal jako kształty pobudzające i skłaniające ludzi do określonej aktualizacji lub nawet twórczości; prowokują w ten sposób nowe wytwory podobne do siebie, t. j. idące po tej samej linii. W tem pobudzaniu i prowokowaniu w pewnym określonym kierunku działalności ludzkiej leży podstawa immanentnego, samodzielnego i często niezależnego od woli człowieka rozwoju dziedzin kultury. Wynalazek techniczny pociąga za sobą z konieczności inne wynalazki; dogmat — inne dogmaty; dzieło sztuki wywołuje inne dzieła sztuki. Na gruncie odróżnienia psychiki i ducha zbudowano także nową koncepcję **jedności kultury**, pozwalającą pełniej ujmować takie zagadnienia jak np. jedności jakiejś epoki. Materializm dziejowy rozwiązywał te zagadnienia dualistycznie: uważał pewną dziedzinę życia (ekonomiczną) za pierwotną, wszelkie zaś objawy kultury duchowej traktował jako nadbudowę; psychologizm upatrywał jed-

ność kultury w jedności konstrukcji psychicznej ludzi danej epoki i t. d.

Nowa koncepcja jest pełniejsza i jednolita, gdyż właśnie rozwiązuje ona to zagadnienie w płaszczyźnie swoistej filozofii ducha. Dzięki temu pojęciu rozróżnienie t. zw. kultury materialnej i duchowej traci znaczenie, albowiem duch czyli sens obiektywny przejawia się zarówno w sferze stosunków i wytworów materialnych, gospodarczych np., jak i idealnych jak sztuka, nauka i t. p.

Wobec tak pojętych zjawisk kultury, humanistyka musi przyjąć inną postawę badawczą, którą warunkuje już samo ujęcie przedmiotu badania. Charakteryzuje tę nową postawę ostre przeciwstawienie się historyzmowi i pozytywizmowi.

Do mocniej akcentowanych problemów metodologicznych należą m. inn. zagadnienia, genezy i istoty oraz pojęcie całości i składników.

Szczególnie ważnym jest ostre przeciwstawienie się metodzie genetycznej tak mocno zakorzenionej np. w badaniach historyczno-literackich. Podanie przyczyny czasem ogromnego łańcucha genetycznego dla jakiegoś zjawiska uważano dotychczas za wyjaśnienie istoty tego zjawiska. Takie stawianie sprawy zakwestjonował fenomenologizm: co innego jest przyczyna zjawiska a co innego zjawisko samo. Przedewszystkiem więc winniśmy poznać w bezpośrednim doświadczeniu zjawisko samo, a następnie dopiero przejść do faktów dotyczących go.

Powyzsze zagadnienie łączy się z innym, mianowicie ze specjalnym pojęciem całości albo, t. zw. kształtu. Znowuż sprawa b. ważna dla krytyki i historii literatury.

Przyjmuje się założenie, że poznanie całości (np. twórczości jakiegoś autora lub dzieła) „nie jest wynikiem poznania cząstek tej całości, ale aktem swoistym, ujmującym wprost swoistą postać przedmiotu (warunkującą jego składniki) i warunkującą poznanie części ich i roli”. Stąd twierdzi się, że np. odróżnienie (w jednym osobniku) artysty i człowieka, lub podział dzieła na poszczególne elementy (np. treść, postaci, styl i t. p.) są bezprzedmiotowe; bowiem przedmiot humanistyczny czy to będzie osoba, czy dzieło są pewnymi organicznymi całościami o swoistej, niepowtarzalnej strukturze<sup>\*)</sup>. Wydobyć więc kształt przedmiotu określić go trafiającą w samo sedno formułą — oto jedno z zadań współczesnego humanisty.

Zagadnienia i rozwiązania powyższe są, jak się zdaje, najistotniejszymi i najcharakterystyczniejszymi postulatami nowych dążeń w naukach humanistycznych. Omawia je w swojej książce dość szczegółowo i z dużym obiektywizmem krytycznym dr. Bogdan Suchodolski, uwzględniając oczywiście różne jeszcze ich rozgałęzienia i dalsze konsekwencje oraz zastosowanie praktyczne w poszczególnych działach humanistyki.

Cokolwiek by się o tych nowych kierunkach badań sądziło, przyznać trzeba, że nawiązują one

<sup>\*)</sup> Na gruncie takiej koncepcji nie do pomyslenia byłyby prace w tym rodzaju jak np. H. Balka: „Z badań nad wyobraźnią artystyczną Stanisława Wyspiańskiego” i inne.

bez porównania bliższy niż metody dotychczasowe, kontakt z życiem i współczesnością i pozwolą może spełnić te coraz częstsze (szczególnie jeśli chodzi o naukę o literaturze) żądania, aby współczesność i rzeczywistość zbliżyć do nauki i odwrotnie.

Co się zaś tyczy samej istoty nauk humanistycznych, to konsekwencje nowych założeń metodologicznych są bardzo znamienne a nawet rewolucyjne; przez przyjęcie bowiem idealistycznych koncepcji niezależnego świata ducha i wynikającej stąd nowej teorii jedności kultury a następnie przez akcentowanie całości i nierozkładalności poszczególnych wytworów kultury, wprowadzają one do dzieł naukowych pierwiastek konstrukcyjno-estetyczny, przesuwając tem samym nauki humanistyczne na pogranicze sztuki.

M. J. Toporowski.

## Z NIWY POLONIKÓW

### Poloniki niemieckie.

Wiedeński „Burgtheater”, zamierza w najbliższym czasie wystawić „Lato”, trzyaktową sztukę Tadeusza Rittnera. Jak wiadomo, znakomity pisarz związany był przez swą działalność z Wiedniem. W artystycznych kołach wiedeńskich utwory jego są bardzo cenione i cieszą się dotąd wielką popularnością.

\* \* \*

Nakładem wydawnictwa Narodnich Novin w Bibliotece powieściowej, będącej pod redakcją dra Mikołaja Andrica w Zagrzebiu, wyszedł jako tom 436 tego wydawnictwa Miasto Mojej Matki J. Kaden-Bandrowskiego (Grad Moje Majke) we wzorowym przekładzie prof. Juliusza Benesica.

Krytyka jugosławińska (Obzor, Rijec i inne) wita książkę naszego pisarza z rzetelnym uznaniem. Prof. Juliusz Benesic, zasłużony w Zagrzebiu znawca i propagator literatury polskiej poprzedza przekład Miasta Mojej Matki pięknym wstępem, w którym daje zarys literatury polskiej współczesnej, oraz poświęca pełne zrozumienia strony historycznej tradycji Krakowa.

\* \* \*

Die Neue Bücherschau, miesięcznik literacki wychodzący w Berlinie (I. M. Spaeth Verlag) w numerze z b. r. za lipiec i sierpień w wyborze nowel Babela, Barbussa Beckera, Herrmanna, Londona, Reeda, Von der Vringa i Weiskopfa, przynosi w znakomitym przekładzie J. Seidmann-Bermana przekład noweli J. Kaden-Bandrowskiego z cyklu Zbytki p. t. Die Bauerin (Baba).

P. J. Seidmann-Berman pracuje obecnie nad przekładem powieści Kadena Generał Barcz, która w roku przyszłym ma się ukazać w jednym z wielkich domów wydawniczych niemieckich.

\* \* \*

W „Baltische Presse” z dn. 18 lipca ukazała się p. t. „Polnische Kunstansstellung in Zoppot” sprawozdanie z wystawy, na której figurowały obrazy Laszenki, Ziomka, Fałata, Iwanowskiego, Stabrowskiego i Nartowskiego. Najokazalej reprezentowany był Laszenko, interesującą serją 22 obrazów na tematy orientalne.

#### Francuski projekt Akademii Polskiej.

Śpieszmy zaznaczyć, że wydobyty z mroków archiwalnych przez dr. S. Trzebińskiego projekt pochodzi z czasów Stanisława Augusta i bezpośredniego związku ze sprawą aktualną nie ma. Ogłoszony w pracy p. t. „Projekt różnych instytucyj naukowych i lekarsko-administracyjnych w Warszawie, z drugiej połowy XVIII wieku” (Wilno 1928) odpis manuskryptu francuskiego, zawierającego projekt utworzenia w Warszawie Akademii Umiejętności był zupełnie nieznaną T. Korzonowi w dziele tej miary, c6 „Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta”. Autorem projektu p. t. „Plan pour l'établissement d'une Académie des Sciences” był uczonec badacz J. B. Dubois, rodem z Burgundji, wezwany w r. 1775 do objęcia obowiązków nauczyciela Warszawskiego Korpusu Kadetów. W r. 1778 wydał Dubois w Berlinie dzieło dedykowane Stanisławowi Augustowi p. t. „Essai sur l'histoire de Pologne”, w którym podnosi m. in. projekt założenia w Warszawie „Akademii nauk i sztuk”.

Wypadki historyczne nie pozwoliły, niestety, wówczas na realizację projektu, który sądząc z pewnych danych świadczy nietylko o udziale cudzoziemca w polskim ruchu oświatowym z drugiej połowy XVIII w., ale i o zaszczytnym zainteresowaniu podobnym projektem społeczeństwa rodzimego za czasów St. Augusta.

#### Książka rumuńska o Polsce.

O zbliżeniu kulturalnym polsko-rumuńskim czytamy coraz częstsze wzmianki w prasie. Dotychczas jednak akcja porozumienia prasowego polsko-rumuńskiego w tej dziedzinie nie zdobyła się jeszcze na efektywną pracę systematyczną, ku czemu niemalą przeszkodą jest brak nieraz zasadniczych ogólnych wiadomości u Rumunów o Polsce i vice versa na skutek niedostatecznej ilości wydawnictw informacyjnych, których cel i układ wzbudzałby zainteresowanie do bliższego poznania kraju sąsiedniego i zaufanie do podawanych wiadomości.

Wymaganiom powyższym czyni zadość książeczka p. t. „Polonja”, wydana i opracowana przez „Asociația Universitară a Prietenilor Polonieri (București 1928). We wstępie prof. S. Mehedinti przypomina, że Polacy i Rumuni stanowią naturalny pomost między morzami Bałtyckim i Czarnym i mogą wiele zdziałać w Europie idąc zawsze obok siebie w doli i niedoli. W dłuższym artykule prof. Panaitescu czyni przegląd historyczny stosunków kulturalnych polsko-rumuńskich — od XIV wieku do emigrantów polskich w Rumunji po 1863 r. Z Polską współczesną zaznajamiają artykuły profesorów i studentów, którzy brali udział w wycieczce do Polski, a które omawiają wszystko to, co uczestnicy wycieczki zaobserwowali w Polsce, ze szczególnem uwzględnieniem naszego przemysłu i rozwoju portu w Gdyni. Książka opatrzona jest ośmiu rycinami, z których pięć to zdjęcia naszych wielkich fabryk i kopalń na Śląsku.

#### Zagraniczne echa stulecia Ossolineum.

Zakład im. Ossolińskich we Lwowie prowadzony był zawsze w kierunku zbliżenia z nauką zachodnio-europejską, zwłaszcza ze światem słowiańskim i gronem uczonych slawistów. Stosunki te, z natury rzeczy przez wielką wojnę przerwane, dziś odżyły w całej niemal pełni i wielu przyjaciół zakładu z racji obchodzonej w tym roku uroczystości stulecia Ossolineum poinformowało w artykułach dziennikarskich czy naukowych o losach tej poważnej placówki naukowej.

W Niemczech uczynił to dr. O. Forst - Bataglia, ogłaszając w szeregu pism codziennych artykuły i notatki. Wiedzieńczykom przypomniawszy postać polskiego mecenasa dr. Goldscheider na łamach „Neues Wiener Journal”, Minister Kętrzyński, syn dyrektora Zakładu, obecnie poseł nasz w Hadze skreślił artykuł dla „Neue Rotterdamsche Courant”. Znakomity polonista profesor Uniwersytetu w Zagrzebiu dr. Fr. Ilesić ogłosił artykuły okolicznościowe w Lublanie i w Zagrzebiu. Przeglądy slawistyczne pomieściły szkice sprawozdawcze osób związanych z Instytutem lub specjalistów. Obfite pokłosie tych poloników utrwala przekonanie, że poza wysiłkiem propagandy naszej państwowej, coraz większego rozmachu nabiera niezależna od jakichkolwiek czynników urzędowych — propaganda kulturalno-naukowa.

T. Gleyden.

## Z BIBLIJOFILSKIEJ ANTOLOGJI

W starej księżnicy w odwieczny stałem  
Gorzał zachodem nieba strop siny  
I krwawo lśniły w świetle wspaniałem  
Grube foliały i voluminy.  
Żegnało słońce blasków potokiem  
Odwiecznym kurzem osnute półki,  
A za gotyckim oknem wysokiem  
Ćwierkały pacierz senne jaskółki.

Zdjąłem z pulpitu foliał potężny,  
W pokryte skórą oprawion deski;  
Miał narożniki z blachy mosiężnej,  
Rzezane w kwiaty i arabeski.  
Mistrz je wypieścił w zamierzchłej dobie  
i zawarł księgę złoconą klamrą;  
Pisarz i złotnik spróchnieli w grobie.  
Ale ich dzieła nie rychło zamrą.

Otwarłem księgę i do mych oczu  
Począł pergamin gadać żółkniawy;  
Lśnił miniatury w złotem otoczu,  
Kolorowane lśnił inicjały.  
W starej księżnicy krwawemi skrami  
Migota słońce nad mym pulpitem.  
Mienia się karty jak przed wiekami  
Purpurą, złotem, srebrem, błękitem...

Jakiż mnie dziwny czar ukołysał  
I jałem, księgo dumać o tobie;  
Mnich średniowieczny Ciebie napisał,  
Skrybent i malarz w jednej osobie.  
Kreśląc z zapałem glorie promienne

I wizerunki i kwiatów zwoje,  
Jakaż on treścią w nocie bezsenne  
Wypelniał księgo stronicę twoję?

Zywoty świętych, misteryów parę  
W gotyckich liter wije się sploty.  
Stare kantyczki, kolędy stare,  
Nabożne pieśni, pełne prostoty.  
Złym był poeta twórca tych wierszy:  
Rym się nie kleci, rytm w nich nie klei...  
Pięknymi głoski na karcie pierwszej  
Wymalowano: Ad gloriam Dei...

Widzę: mrok osiadł ponure ściany,  
Mnich proste słowa z natchnieniem kreśli:  
O Rodzicielce Niepokalanej,  
O Bożym Synu i świętym cieśli.  
Czernią się głoski na karcie białej,  
Migocą farby złoto, czerwono;  
Żółtym piómykiem kałanek mały  
Mdlawo oświetla twarz zachwyconą...

I powiał nagle prąd jakiś szerszy  
I mego ducha podniósł ogromnie:  
Złym był poeta twórca Tych wierszy,  
A jakże dziwnie przemówił do mnie!  
Srebrzy mnie łzami kolęda stara,  
Stara kantyczka śpiewa mi „wskrześnij!”  
Taka serdeczna, gorąca wiara  
Z pięciowiekowych tryskała pieśni...

Czerwone słońce w dal padło szarą,  
W starej księżnicy stałem w zadumie:  
O, gdyby ową pierwotną wiarą  
Można Cię natchnąć, dzisiejszy tłumie!  
O, gdyby twoją pierś strupieszala  
Tych świętych uczuć wskrzesiły żary  
Czerwone słońce w dali skonało  
I było ciemno w księżnicy starej...

Artur Oppman (Or-Ot.)

Wybrał Este.

## ODPOWIEDZI GŁOSU PRAWDY LITERACKIEGO

**Marek Sch.** Oba wiersze bardzo słabe, egzaltowane bez formy, bez istotnego obrazu, bez rytmu.

**Miecz:** Niestety też nie znamy adresu. Poprawki są formalnie słuszne. Niestety formalne porządki w poezji rzadko kiedy triumfują. Indywidualność poety niejednokrotnie światom dopuszcza się t. zw. błędów. Nikt nie ma prawa błędów tych korygować. Ileż prowincjonalizmów, ileż rusycyzmów, znalazłby Pan w Mickiewiczu! A jednak dzięki wielkiemu poecie stały się chlebem powszednim mowy polskiej i wzbogaciły nasz język!

**J. S.** Redakcja rękopisów nie zwraca. Literatura dla dzieci to chyba jedna z najważniejszych w Polsce. Sądźmy, iż źle podchodzi Pani do tego zagadnienia. Nie możemy prze-

cie analizować poszczególnego numeru pisemka. Jest to wy-padek zbyt szczegółowy, oderwany, by poświęcać mu artykuł o tak dużych rozmiarach. Przyjmujemy jednak najchętniej od Pani artykuł z tej dziedziny, lecz w treści ogólnej, bardziej zasadniczej. Artykuł syntetyczny. Czy zgoda? Zgadamy się z Panią, że poruszona przez Nią sprawa, jest istotnie karygodną. Należy jednak przeciw temu złu działać przede wszystkim na drodze pozytywnej: Ukazanie właściwej drogi.

**Poeta:** Ależ nie jest to wcale żadną poezją: Jest to skrępowany rymem traktacik religijno - filozoficzny. Skrępowany rymami niewyszukanymi, najtańszymi. Radzimy zarzucić tę drogę. o ile myśli Pan poważnie o poezji. Proszę szukać dookoła siebie, na razie modelować przede wszystkim z natury, rzeczy najprostsze rzekomo najłatwiejsze. Przekona się Pan niebawem, jak są trudne. Wtedy zacznie je Pan nieśmiało stylizować i może z czasem zacznie Pan pracę poetycką. Nie zaczynać jednak od Olimpu, Boga, Mojżesza itp.

**Mietek R.** Nie możemy drukować tego rodzaju wierszy. Czyż nie widzi Pan, jakie to naiwne jeszcze i pospolite. Że niby — człowiek wschodzi jak kwiat, słońko pomaga mu rosnąć i t. d. Radzimy — nie pisać. Czytać, uczyć myśleć i czekać cierpliwie na poważniejsze natchnienie.

**Kazimierz Bar. Kraków:** Z przyjemnością przeczytaliśmy pańskie utwory. Stara się Pan istotnie o poprawną formę o kadencję wiersza. Owszem. Niestety. — proszę się na nas nie obrażać. — w pańskim wieku nie można jeszcze tworzyć dobrej poezji. Nie ma Pan jeszcze żadnego doświadczenia życia. To trudno, tak to już jest na świecie. Radzimy na razie nie pisać. Niech Pan tłumii swe natchnienie, wygra Pan tylko na tem, przedwcześnie nie nabywając niepotrzebnej manieri.

**Tadeusz Waw.. Łódź:** Dziękujemy za miłe słowa. Oczywiście, że nie pracujemy dla gapiów, lecz z ludźmi, którzy chcą się czegoś nauczyć a zarazem i nas mogą nie jednego nauczyć. O obiektywizm bardzo trudno, niech się więc Pan sobą w tej okazji nie martwi. Nieoceniowy mistrz techniki pisarskiej Flaubert nie mógł też ocenić się obiektywnie, wzywał przyjaciół, którym, — z wielkim strachem, — odczytywał swe niewydane jeszcze utwory. Co do pańskich poezji: Bierze Pan stan przygotowawczy, poprzedzający niejako wyczyn poetycki za materiał z którego ma być ulepiony pański utwór. Może pozwolić sobie na to bardzo wielki artysta. Radzilibyśmy na razie pozostawić wszelkie tego rodzaju „spazmy” na boku i wziąć się do prób konkretnych. To znaczy — postawić sobie zadanie dokładnie wiadome i starać się wykonać je. Zobaczy Pan, jak zaraz wszystkie spazmy, genjalne konwulsje i transy opuszczą Pana a zjawi się przed Jego piórem istotna trudność — poetyckiej pracy.

**Dr. Kraj.. Serajewo:** Szanowna Pani jest w błędzie i w danym wypadku mamy istotnie do czynienia z rzadkim zaiste zbiegiem okoliczności, czy przypadkiem. Artykułu Jej nie czytał i nie widział nikt, prócz redaktora Dodatku Literackiego. Redaktor Dodatku nie pokazywał artykułu Sz. Pani absolutnie nikomu a rozmawiał o utworze Sz. Pani jedynie z P. Pułk. de B. Widocznie dane fakty są powszechnie znane i z obu stron wystylizowano je tak podobnie. Zależy nam na współpracy, — rzecz zrozumiała jednak, że musimy zastosować ją do ram naszego pisma. Dlatego to proponowaliśmy objęcie bieżącej kroniki i artykuły z danego zakresu, nie przekraczające 200 wierszy druku — obecnego naszego formatu.

REDAKTOR I WYDAWCA: WOJCIECH STPICZYNSKI

Drukarnia „Literacka”, N.-Świat 22.

Przesyłka poczt. opłaconą ryszałtem.

ake. 330/61D.